

Baśniowe opowieści bez przemocy w treści

Rozmowa z Jolantą Horodecką-Wieczorek - autorką książek dla dzieci.



Wywiad w TV Polonia, październik 2017 r.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Jest pani autorką poczytnych bajek i baśni dla dzieci. Co było impulsem, że zdecydowała się pani na ten rodzaj twórczości?

Jolanta Horodecka-Wieczorek

- Piszę bajki i baśnie, bo uważam, że dzieci mają coraz mniej dobrych wzorców. Dlatego też moje utwory dla dzieci w większości opatrzone są emblematem „Bez przemocy” i jest to informacja dla rodziców, nauczycieli, bibliotekarzy, a także dla tych, którym zależy na prawidłowym kierunkowaniu wrażliwości dziecięcej. Na spotkaniach autorskich w kraju i poza granicami dowiaduję się od dzieci, że w

zdecydowanej większości od potworów wolą rodzime krasnale i dobrą wróżkę, której w moich bajkach często pomaga Księżyc i Wiatr. Na spotkaniach autorskich przekazuję też dzieciom takie wartości jak: przyjaźń, wzajemna pomoc, miłość do Ojczyzny, ludzi, zwierząt, przyrody, a także za pomocą moich bajkowych postaci pouczam dzieci jak w dzisiejszym świecie unikać zagrożeń i przemocy.

To piękne przesłanie, tym bardziej, że przemoc była obecna w literaturze dla dzieci już od dawna. Np. czytając wierszowane bajki z okresu międzywojennego zastanawia ich okrucieństwo. Jasio był niegrzeczny, to mamusia zaprowadziła chłopca za karę do krawca, a krawiec wielkimi nożycami obciął Jasiowi palec. Niezwykle popularne bajki braci Grimm np. o Czerwonym Kapturku czy Jasiu i Małgosi też są okrutne. (Wilk pożera babcię, czarownica wkłada dzieci do pieca). W okresie stalinowskim w bajkach pokazywano jako pozytywne przykłady dzieci, które donosiły na rodziców. Pani bajki promują dobro i piękno.

- Z reguły na spotkaniach autorskich pytam dzieci czy lubią się bać. Można przyjąć, że całe sto procent dzieci podnosi rączki, że nie lubi się bać! Dlatego „piszę bajki bez przemocy, ażeby dzieci spokojnie mogły sypiać w nocy”. Taka sentencja znajduje się na mojej stronie jako motto. W bajkach bez przemocy wychodzę naprzeciw oczekiwaniom dzieci. Moje bajki w pewnym stopniu traktuję jako oręż przeciwko bajkom z przemocą, bo jak powiedziałam w wywiadzie TV niemieckiej w Oberhausen (na stronie: www.jhw.com.pl) - *społeczeństwo będziemy mieli takie, jakie sobie sami wychowamy*. Dzieci są dla mnie bardzo ważne i chciałabym, aby wszystkie były szczęśliwe, ale szczęście to synonim dobra, które dalekie jest od przemocy i potworów.

Debiutowała Pani w 2001 roku powieścią fantastyczną „Nieskończony wywiad” wydaną przez Miejski Ośrodek Kultury w Piotrkowie Tryb. Od tej pory na rynku krajowym i zagranicznym ukazało się 55 tytułów, wydanych w 856 tysiącach egzemplarzy. To imponująca ilość publikacji. Co według Pani jest powodem takiego zainteresowania literaturą dla dzieci?

- Powieść *science fiction* dla młodzieży i dorosłych pt. „Nieskończony wywiad” w kolejnej, poszerzonej edycji ma zmieniony tytuł na: „W świecie Fosforantów”. Jest to

romans psychologiczny francuskiej dziennikarki z wysoko cywilizowanym Kosmitą ze świata Fosforantów z odległej planety Cofo. Dwa opowiadania fantastyczne: „Klucz do przeszłości” i „Podróż bez biletu” to też próba *licentia poetica*, aby choć trochę uchylić tajemnicę czwartego i piątego wymiaru. Powtarzają się opinie, że powieść „W świecie Fosforantów” jest dobrym materiałem na scenariusz filmowy. Zachęcona nimi, napisałam *synopsis* w nadziei, że spotkam reżysera specjalizującego się w tematyce fantastyki.

Jolanta Horodecka-Wieczorek
 (ur. w Pietrkowie Trybunalskim) autorka ponad 160 bajek, baśni i poematów dla dzieci, a także powieści i opowiadań science-fiction, o dotychczasowym nakładzie 840 tysięcy egzemplarzy, wydanych w kilku edycjach i wersjach językowych.

Wszystkie utwory dla dzieci opatrzone są emblematem „BEZ PRZEMOCY”.

Jolanta Horodecka-Wieczorek jest laureatką wielu nagród, w tym dwóch Nagród Specjalnych przyznanych w 2005 i w 2011 roku przez Ministra Kultury, będących uhonorowaniem bogatego dorobku w dziedzinie edukacji artystycznej dzieci. W 2012 roku pisarka otrzymała medal „Zasłużony dla Kultury Polskiej” Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Autorka należy do wielu organizacji literackich, między innymi jest członkiem: Światowego Stowarzyszenia Dziedzictwa Kulturowego Polonii z siedzibą w Częstochowie, Związku Pisarzy Polskich w Londynie, Stowarzyszenia Autorów, Dziennikarzy i Tłumaczy APAJTE z siedzibą w Paryżu.


Więcej informacji o autorce na stronie: www.jhw.com.pl

Wraz ze swoimi bohaterami zapraszam Państwa w romantyczną podróż w głąb Wszczęświata. Tam państwo poznacie niezwykłych Kosmitów i świat, w którym nie istnieje pojęcie czasu w ziemskim pojęciu. Przy okazji, wraz z francuską dziennikarką Lily Lemoar i jej przewodnikiem, wielkim uczonym, Albertem, odwiedzicie odległą o dwadzieścia lat świetlnych planetę Cofo, otoczoną błękitną aurą światła dziennego. Tam poznacie jej mieszkańców, którzy chętnie podzielą się swoją wiedzą i z pewnością zadziwią waszemiśmą techniką.


Opowiadania „Podróż bez biletu” i „Klucz do przeszłości” to także próba *licentia poetica*, aby choć trochę uchylić zasłonę kryjącą sekrety czwartego wymiaru.

Jolanta Horodecka-Wieczorek

Książka objęta patronatami:



Akademia Polonijna



Światowe Stowarzyszenie
Dziedzictwa Kulturowego Polonii

ISBN 978-83-63890-00-1

Jolanta
Horodecka-Wieczorek

W świecie
Fosforantów

POLTA

Praca aplikacja dla polonistów i Polonistycznych Studiów



Co Panią pociąga w fantastyce?

- W fantastyce pociąga mnie majestatyczny ład we wszechświecie, ciekawość innych światów oraz rozległe przestrzenie spowite ciszą, które zawsze kojąco na mnie wpływają. Fantastyka to też nieograniczana niczym wyobraźnia, w której może się dziać wszystko, co tylko mieści się w kryteriach mojej wrażliwości wyczulonej na dobro i piękno otaczającego nas wszech - świata. Bajki to też fantazja, tyle że przeznaczona dla dzieci. Rymowana bajeczka „O kosmicznym ludku w babcinym ogródku” zawiera wątki edukacyjno-ekologiczne, wplecione w kosmiczną fabułę. Dodam, że moją głęboką pasją jest śledzenie najnowszych odkryć naukowych we Wszechświecie, a dyskusje na te tematy na spotkaniach autorskich z młodzieżą i dorosłymi sprawiają mi wielką radość.

Dwie piękne książki będące wierszowaną historią Fryderyka Chopina (w 200-lecie urodzin) - „Wiatru tchnienie o Chopinie” i Tadeusza Kościuszki (w 200-lecie śmierci) - „Wiatrowe opowieści z Kościuszką w treści” podbiły serca polskich dzieci na całym świecie.

- „Wiatru tchnienie o Chopinie” to biografia Fryderyka Chopina ujęta w 117 rymowanych zwrotkach, z czego pierwsza część dotyczy dzieciństwa i najbardziej zaciekawia dzieci, które identyfikują się z małym Fryderykiem. W obydwu wymienionych książkach o Chopinie i o dzieciństwie Tadeusza Kościuszki narratorem jest Wiatr, który wprowadza dzieci w bajkowy świat, gdzie już z łatwością można było wplatać wątki biograficzne, tych dwóch wielkich Polaków. Tak powstały obydwie autentyczne biografie ubrane w bajkowe szaty.

Drogie Dzieci,

*Właśnie dla Was napisałam
To miłe sercu wspomnienie,
Abyście nie zapomnieli
O Fryderyku Chopinie.*

*Wiele mu stref poświęcałam,
Abyście się dowiedzieli,
Jak przed prawie dwustu laty
Żył i tworzył Polak mały.*

*A teraz Wam wszystkim życzę
Miłej o Frydka lektury.
Czytając, zapamiętujcie
Z życia geniusza szczegóły.*




Jolanta Horodecka-Wieczorek
urodziła się w Piotrkowie Trybunalskim. Jest autorką literatury fantastycznej i ponad 160 bajek i basni w wierszu w prozie, z czego ukazało się 51 tytułów, nakładem 843 tysięcy egzemplarzy. Wszystkie utwory dla dzieci opatrzone są emblematem „Bez przemocy”.

Najważniejsze nagrody i wyróżnienia:

- 2005 – Nagroda Specjalna Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego za bogaty i edukacyjny dorobek w dziedzinie literatury dziecięcej.
- 2011 – Nagroda Specjalna Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego i w.
- 2013 – medal – odznaka honorowa „Zasłużony dla Kultury Polskiej” przyznany przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.
- 2014 – „Wielka Encyklopedia Polonii Świata”, w której autorka znalazła się z racji swej twórczości literackiej i szeroko pojętej działalności polonijnej
- 2015 – Dyplom z medalem wręczony pisarce przez Prezesa Światowego Stowarzyszenia Dziedzictwa Kulturowego Polonii w uznaniu zasług na rzecz współpracy z Polonią Świata.
- 2016 – autorka została nominowana przez Sekretarza Generalnego Światowego Stowarzyszenia Dziedzictwa Kulturowego Polonii na Wiceprzewodniczącą Komisji Współpracy z Polonijnymi Dziennikarzami i Pisarzami na terenie USA i Unii Europejskiej

Autorka jest Członkinią:
A.P.A.J.T.E., Stowarzyszenia Polskich Autorów, Dziennikarzy i Tłumaczy z siedzibą w Paryżu,
Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie z siedzibą w Londynie, Międzynarodowej Sekcji IBBY.
Autorka współpracuje ze SSDKP i Fundacją Polska Polonia, Europa.

Więcej informacji znajduje się na stronie: www.jhw.com.pl



ISBN 978-2-911742-15-6



Patronat medialny



Klub
Polscher
Intellektueller
in Österreich



Polka
Intellektualna
Międzynarodowa
Asocjacja
Polskich Kobiet



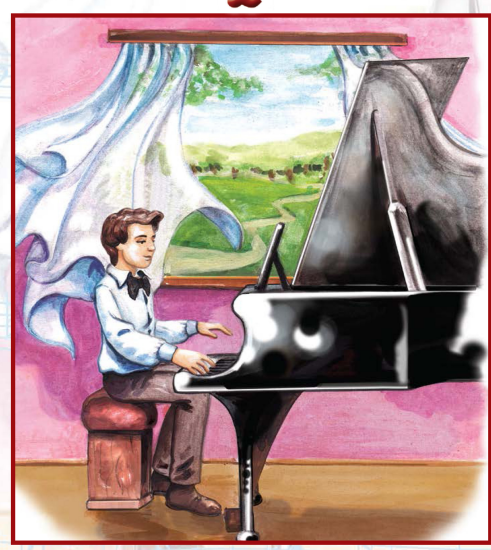






Jolanta Horodecka-Wieczorek

Wiatru tchnienie Chopinie





Drogie Dzieci
Kościuszkę to znana postać
I to na calutkim świecie
Jego Imię i Zasługi
Znać powinno każde dziecko.
Toteż ważne jest, abyście
Kościuszkę zapamiętali,
I za wielki patriotyzm
Szacunkiem Go obdarzali.
Jeszcze tylko Wam dopowiem,
Że Kościusko jest legendą
I że jego wielkie czyny
Wciąż w pamięci ludzi będą.



Jolanta Horodecka-Wieczorek
urodziła się w Piotrkowie Trybunalskim. Jest autorką literatury fantastycznej i 165 bajek i baśni w wierszu i prozie, z czego ukazało się 53 tytułów, nakładem 843 tysięcy egzemplarzy. Wszystkie utwory dla dzieci opatrzone są emblematem „Bez przemocy”.

Autorka jest laureatką wielu nagród, medali i wyróżnień, między innymi otrzymała dwie Nagrody Specjalne (2005, 2012) i medal „Zasłużony dla Kultury Polskiej” od Ministra Kultury (2013) za bogaty i edukacyjny dorobek w dziedzinie literatury dziecięcej. W 2014 roku Autorka weszła do Wielkiej Encyklopedii Polonii Świata wydanej przez Światowe Stowarzyszenie Dziedzictwa Kulturowego Polonii, a w 2015 roku została nominowana na Wiceprzewodniczącą Komisji ds. Współpracy z Dziennikarzami i Pisarzami Polonijnymi na terenie USA i Unii Europejskiej.

Jolanta Horodecka-Wieczorek odbywa wiele spotkań autorskich w kraju i poza granicami, na których przekazuje dzieciom takie wartości jak przyjaźń, wzajemna pomoc, miłość do przyrody, Ojczyzny, ludzi, zwierząt, a także za pośrednictwem swych bajkowych postaci pokazuje dzieciom jak w dzisiejszym świecie unikać zagrożeń i przemocy. Pisarka na spotkaniach autorskich z młodzieżą i dorosłymi często łączy tematykę swego dorobku SF z tematyką swojej pasji dotyczącej kosmosu.

Więcej informacji znajduje się na stronie: www.jhw.com.pl

ISBN 978-83-949007-0-0



Patronat medialny



EURO-CENTRUM
PIOTRKOWSKIE STOWARZYSZENIE
ROZWOJU, PROMOCJI
I INTEGRACJI EUROPEJSKIEJ



GOK
MUZEUM MACIEJOWICE



MIĘDZYNARODOWA ASOCJACJA
POLSKICH KOBIEC
i kobiet w Europie



ZWIĄZEK PISARZY POLSKICH
NA OBCYZNIE



BIZNES PARTNER POLSKA

Dla dzieci

Jolanta
Horodecka-Wieczorek

Wiatrowe opowieści z Kościuszką w treści

Pani książki pełnią funkcję edukacyjną i wychowawczą. Jak trafić do małego czytelnika?

- Skupiam się na bajkowej konstrukcji, z której morał najczęściej wypływa sam. Czasami, w zależności od kompozycji utworu, umieszczam go dyskretnie w środku, bądź na samym końcu, gdzie przesłanie łączy się z zakończeniem. Budując fabułę dyskretnie naprowadzam dzieci na to, co w bajce jest godnego naśladowania, a czego należy unikać.

Jakimi odbiorcami są dzieci?

- Dzieci generalnie są nastawione na dobro, ale niestety dzisiejsze trendy nie zawsze idą w tym kierunku. Moje spotkania z dziećmi są w większości spontaniczne, dzieci mają prawo się wypowiadać, pytać, dobrać tematy i dyskutować. Na zakończenie spotkania, podczas rozdawania autografów zawsze jest czas na indywidualne rozmowy, po których często, aż trudno się rozstać. Ponadto dzieci są dobrymi psychologami i od razu wyczuwają, że ja je lubię. Zapewne więc też dlatego każde

spotkanie bywa miłe i niepowtarzalne.



Jolanta Horodecka-Wieczorek w Szwecji, 5 maja 2018 r, z okazji Roku Niepodległości.



Autorka w Szwecji 5 maja 2018 r. Rocznica Niepodległości Polski w Malmo.

Mieszka Pani w Polsce, ale współpracuje z wieloma polonijnymi organizacjami. Jest Pani członkiem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie z Londynu. Jest Pani także wiceprzewodniczącą Komisji Współpracy z Polonijnymi Dziennikarzami i Pisarzami na terenie USA i Unii Europejskiej z ramienia Światowego Stowarzyszenia Dziedzictwa Kulturowego Polonii. Jest także Pani członkinią honorową w Asocjacji Kobiet Polskich Polka International z siedzibą w Szwecji, Ambasadorem w dwóch Hospicjach dziecięcych w Gdyni i w Mławie itd. Skąd w Pani tyle zaangażowania w kontaktach z Polakami z zagranicy?

- Z pewnością z racji współpracy z wieloma organizacjami polonijnymi, zaproszeniami na spotkania autorskie, wywiady, Festiwale, Fora, Targi itp. Owocuje

to też coraz większym gronem przyjaciół i pomysłów na współpracę. Od 2005 roku odwiedziłam dziesięć krajów europejskich, często wielokrotnie. Wszędzie zostawiałam swoje książki bez przemocy i wszędzie zyskiwałam kolejnych przyjaciół.

Pierwszym krajem jaki odwiedziłam na zaproszenie Macierzy Polskiej była Litwa. Tam też zawiozłam tysiąc otrzymanych od Wydawcy bajek bez przemocy mojego autorstwa i nigdy nie zapomnę radości jaką tam sprawiły. Nie zapomnę też jak serdecznie witano mnie w różnych szkołach, po staropolsku, chlebem i solą. W roku 2007 Marszałek Senatu Bogdan Borusewicz odwiedzając Polonię we wschodnich krajach Europy, zawiózł w prezencie ode mnie kolejne tysiąc bajek. Serdecznie byłam witana w Konsulacie Polskim we Lwowie i w wielu polskich szkołach na Ukrainie. Byłam też tam zaproszona na Międzynarodowe Forum Książki Europejskiej. Takie były początki moich kontaktów polonijnych.

Potem był Salon Książki Polonijnej w Wiedniu i liczne wyjazdy na spotkania autorskie z dziećmi i dorosłymi w Szwecji i w Danii, gdzie zaproszona byłam przez Ambasadę Polską w Kopenhadze. Zaprosiła mnie Ambasada w Paryżu, gdzie miałam wspaniałe spotkanie z dziećmi, z którymi (tak jak i w innych miejscach) trudno było się rozstać. Wielokrotnie byłam w Niemczech, zapraszana z moimi tłumaczonymi na język niemiecki bajkami, nie tylko przez Polonię, ale i przez niemieckich organizatorów oświatowo-kulturalnych. Prawie wszędzie spotkaniom towarzyszyły miejscowe media.

Mam także ciągły kontakt z Polonią w Chakasji, gdzie syberyjskie dzieci do dziś uczą się języka polskiego z moich książek. Moje bajki są też czytane w Kanadzie na różnych polonijnych uroczystościach.

W 2005 i 2012 roku za edukacyjną formę mojej działalności otrzymałam Nagrodę Ministra Kultury, a w 2013 roku medal „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.

Czy ma Pani jakieś marzenie związane z pracą autora książek dla dzieci?

- Moim marzeniem jest odwiedzić kiedyś Odense, czyli miejsce urodzenia Hansa Christiana Andersena. Chciałabym napisać jego biografię, ale już w innej formie niż bajki dla dzieci.



Spotkanie z dziećmi w szkole w Tarnowie, październik 2017 r.

Strona autorki: www.jhw.com.pl

“Podróże z moją kotką”. O literaturze i zwierzętach.

Rozmowy o książkach, które nie przemijają



Aleksandra Ziółkowska-Boehm z kotką Suzy, fot. arch. A. Ziółkowskiej-Boehm.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

„Podróże z moją kotką” przeczytałam jednym tchem. Skąd pomysł na książkę, której główną bohaterką została kotka Suzy?

Aleksandra Ziółkowska-Boehm

- Mając w dzieciństwie psy, patrzyłam na koty życzliwie, ale trochę z góry. Czekoladowo-złota kotka Suzy, weszła w życie moje i mojego męża trochę nieoczekiwanie, podczas naszego pobytu na kontrakcie w Houston w Teksasie. Suzy, takie imię jej nadał mój mąż Norman, okazała się niezwykle inteligentna, pojętna, sprytna i przymilna. Oczekiwała i wymagała uczuć, które też sama całym sercem nam oddawała. Zaskoczona swoimi spostrzeżeniami, tymi jakby nie-kocimi, bardziej psimi reakcjami Suzy, mówiłam i pisałam o niej do znajomych i przyjaciół, aż postanowiłam napisać książkę.

Koty w literaturze mają swoje miejsce. Jest kot Behemot z „Mistrza i

Małgorzaty” Bułhakowa. Jest legendarny paryski kot, przynoszącego codziennie pewnej wdowie rybę złowioną w Sekwanie. Przykładów obecności kota w utworach zarówno poetyckich, jak i prozatorskich jest dużo. Nigdzie jednak kot nie został potraktowany w tak antropomorficzny sposób, jak pełnoprawny partner człowieka, z indywidualnością, charakterem, odrębnym sposobem bycia, humorami. Czy świadomie kreowała Pani literacki świat Suzy i innych zwierząt w taki właśnie sposób?

- Obserwując Suzy, zdumiewała mnie jej indywidualność, jej uczuciowość, reakcje na różne sytuacje. Miała ona swój świat, wrażliwość, wymagania i oczekiwania. Na okazaną przez nas uwagę i dbałość odpowiadała zaufaniem i wielkim uczuciem, którym mnie i Normana całkowicie podbiła. Oboje bardzo ją pokochaliśmy, nasze wyjazdy układaliśmy wokół niej. Towarzyszyła nam w ponad dwumiesięcznej wyprawie do indiańskich rezerwatów siedząc obok na specjalnym siedzeniu wpasowanym między nami w samochodzie Jeep-Cherokee. Codziennie nocowała w innym motelu, hotelu, podporządkowała się rytmowi dnia, nie protestowała, nie usiłowała uciekać. Miała do nas zaufanie, że ta wyprawa ma jakiś szczególny sens, skoro ją przedsięwzięliśmy. A swoją obecnością umilała nam niejedną podróż.

Suzy wiele razy jeździła z nami także samolotami do Polski. Miała swój bilet, siedziała w torbie pod siedzeniem, od czasu do czasu kładliśmy torbę na kolanach, wystawiała pyszczek by popatrzeć na ludzi w samolocie. Spokojnie znosiła nawet kilkanaście godzin niewygód. Lubiła być w pobliżu nas, podążała za nami po pokojach jak piesek, oczekując wieczorami codziennych spacerów, w czasie których biegła obok. Rozumiała wiele słów, np. słowo *walk* (spacer). Gdy je usłyszała biegła do drzwi i czekała, aby o niej nie zapomnieć.

Uważam, że jeżeli poświęca się zwierzęciu uwagę i mówi do niego, odpowiada uczuciem i inteligencją.



Kotka Suzy, fot. arch. A. Ziółkowskiej-Boehm.



Suzy i Claude na biurku pisarki, fot. arch. A. Ziółkowskiej-Boehm.

Z Pani książki wynika, że związek ze stworzeniem takim jak Suzy stwarza człowiekowi nową jakość życia, człowiek staje się bogatszy o nową wrażliwość, zaczyna dostrzegać piękno i dobro tam, gdzie dotychczas tego nie zauważał. Czy Pani swoją kreacją bohaterki celowo nawiązywała do szalonej ciotki bogatego snoba, pokazującej mu inny świat niż ten, w którym żył do tej pory, z powieści Greene'a „Podróże z moją ciotką”?

- Tak właśnie się stało. W tytule celowo nawiązałam do pięknej książki Grahama Greene'a. Suzy pokazała mi nie tylko inny świat i jakby otworzyła na inną rzeczywistość, także wzbogaciła, uwrażliwiła na sprawy zwierząt i w ogóle natury. Mam ogród, o który dbam, który kwitnie od marca do listopada wciąż innym bogactwem. Mam karmniki, jeden specjalny dla kolibrów i mam dwa koty, które obserwują ptaki zabawnie pomiaukując. Ale zostawiają je w spokoju uważając zapewne za część naszego domostwa.

Jakie jeszcze literackie powiązania miała Pani na myśli, pisząc tę książkę?

- Pamiętam dobrze książki czytane w dzieciństwie opisujące związek człowieka ze zwierzęciem, np. Jacka Londona „Biały Kieł” czy kanadyjskiego pisarza Courwooda. Pamiętam historię o piesku Karusku z książki Prusa „Anielka”. Duże wrażenie pozostawiła na mnie piękna, niezwykła kronika przyjaźni z wydrą zatytułowana „Wydra Pana Grahama”, czy „Born Free” o lwicy Elsie, której poświęcono także film. Czytałam Audrey Topping „Charlie’s World. The improbable adventures of a Hong Kong cockatoo and his American family”. Jest to opis niezwyklej 30-letniej przyjaźni z papugą. Autorka, z którą mam wciąż kontakt, wydała poważne książki o Chinach i Tybecie, także pełne wzruszeń opowieści o ptaku, który zdobył serce jej i całej rodziny.

Czy Pani zamierzeniem była rola edukacyjna tej książki, czy też rolę tę książka pełni niejako „przy okazji”.

- Zamierzeniem było podzielenie się swoimi obserwacjami, takie czułe obserwowanie zwierzęcia. Cokolwiek przy okazji wywołuje ta książka, to już jest sprawą odbioru. Recenzent w „Nowych Książkach” napisał, że jest to książka o... samotności Ameryki. Brzmi interesująco, ale nie wiem do końca, co to znaczy.

Piszę na początku „Podróży z moją kotką”, że chciałabym, by każdemu w czasie jej lektury zrobiło się przyjemniej i weselej.

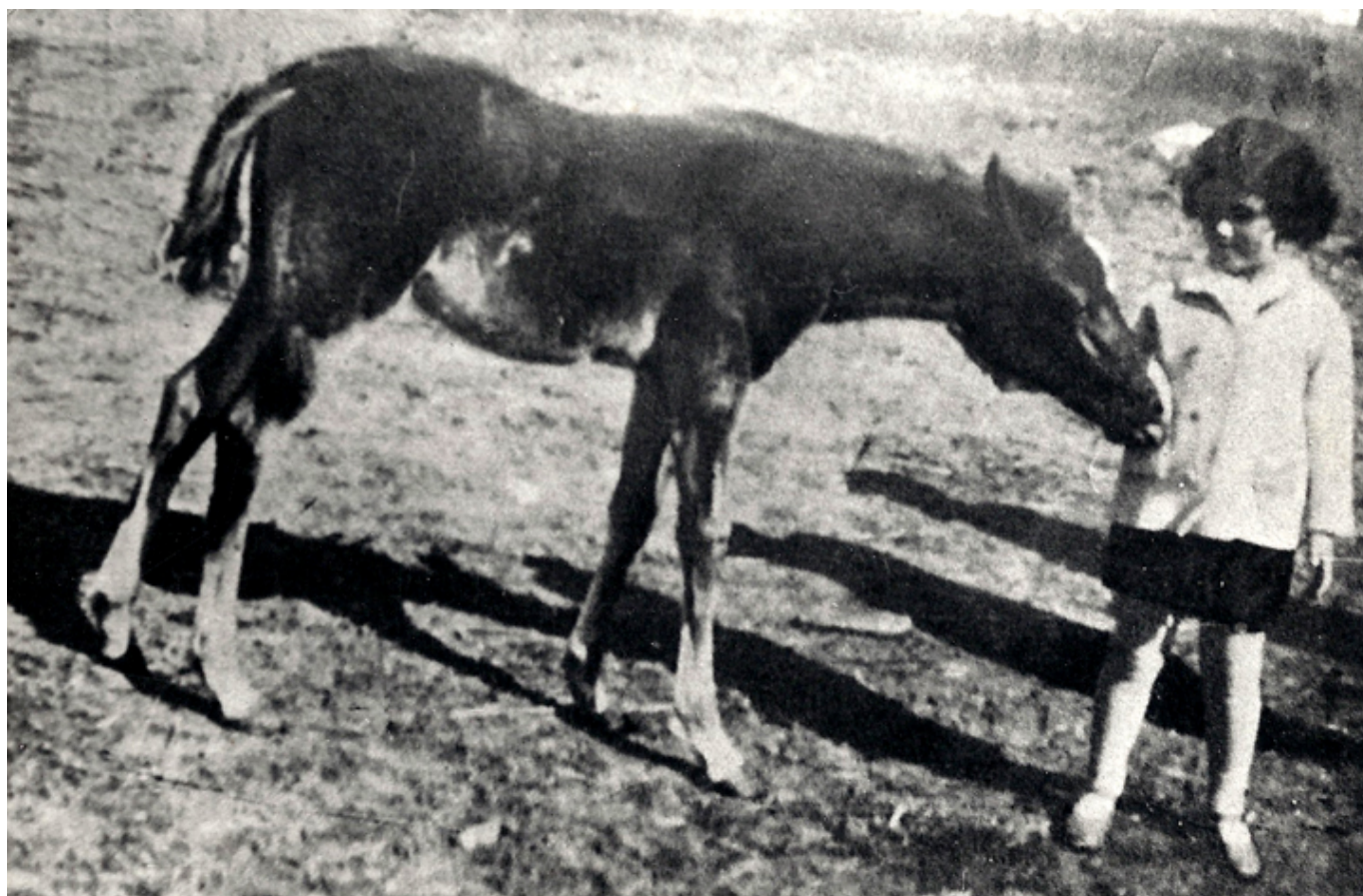
Krzysztof Koehler, poeta i naukowiec, napisał mi: *Cieszę się na nią i ilekroć podgryzają mnie jakieś smuteczki lubię sobie przeczytać z niej jakąś „historię”.*

Pani książka jest nie tylko o zwierzętach, ale i o ludziach. Czytając kolejne Pani książki, wchodzi się stopniowo w świat wypełniony przyjaźniami i przyjaciółmi, dobrymi znajomymi, wspomnieniami z różnych miejsc czy sytuacji. Pani książki są niezwykle szczerze, pozbawione fikcji literackiej, zmian imion czy miejsc. Daje to duży ładunek emocji w odbiorze, zbliża czytelnika do Pani życia, które jest bogate, pobudza do refleksji. Tak samo „zbudowane” są „Podróże z moją kotką”. Codziennie spacer, codzienne zabiegi, obserwowanie, nawiązywanie kontaktu przez człowieka z kotem, papugą, królikiem. Właśnie ta prostota narracji, ten reportaż z życia ludzi i zwierząt daje tak duże bogactwo treści. Czy taka właśnie, bezpośrednia forma, jest Pani ulubioną formą wypowiedzi?

- Ta forma jest mi bliska od dawna - snucie własnych opowieści do kogoś, do czytelnika, którego cenię i lubię. I jeżeli zechce posłuchać - opowiem mu o swoim życiu i ludziach, których spotykam. Także o zwierzętach, o których pisałam np. w „Ulicy Żółtego Strumienia”, w „Blisko Wańkowicza” o jamniczku pisarza Dupku, i o kolejnym Bisiu. O zwierzętach moich bohaterów pisałam także w książce „Kaja od Radosława czyli historia Hubalowego krzyża” (o kotach, psach, kozłach, szczurach, wielbłądach, indyku, kogucie, kurach, jaszczurce). W książce „Dwór w Kraśnicy i Hubalowy Demon” napisałam o stadninie koni arabskich Jerzego i Anny Bąkowskich. Ich córka Ewunia, która kochała wszystkie zwierzęta, miała szczególny kontakt z końmi, z którymi spędzała długie godziny. Na przykład dokarmiała smoczkiem młode źrebaki, które wymagały specjalnej opieki. Inne, starsze podążały za nią po okulniku jak pieski. Jej ulubione konie to Irenka (arabka wierzchówka, która urodziła się z krzywą szyjką). Hodowała także kury i prosięta.



Ewa Bąkowska opisana w książce „Dwór w Kraśnicy i Hubalowy Demon” w dzieciństwie z koniem.



Ewa Bąkowska opisana w książce „Dwór w Kraśnicy i Hubalowy Demon” w dzieciństwie z koniem Irenką.

Książka o kotce Suzy składa się z dwóch części: z życia tytułowej bohaterki Suzy i jej otoczenia oraz wspomnień o zwierzętach pisanych przez inne osoby. Co kierowało Panią przy dokonywaniu takiego wyraźnego podziału?

Chciałam pokazać, jak wiele osób, dziennikarzy, aktorów, nauczycieli, poważnych, często ze znanymi nazwiskami, jak Szymon Kobyliński (krótco przed śmiercią przesłał mi swoją kocia opowieść), Zofia Korbońska, Jagienka Wilczak, podziwia i dba o koty. Pokazałam, że jesteśmy w całkiem dobrym towarzystwie.

Jak odnosili się Pani przyjaciele i znajomi do takiego pomysłu na książkę?

- Posłałam fragment Szymonowi Kobylińskiemu, który mnie zachęcał pisząc, zacytuję jego list (jest w książce „Nie minęło nic prócz lat”):

Śliczny kawałek o podróżniczce-automobilistce Suzy. Kto wie, a nuż dołączysz do pisarzy takich, jak Karel Capek, Kipling, London czy Dygasiński lub niezapomniany Grabowski z Pucem i Bursztynem, a więc literatów sławiących urok i wdzięk

zwierzęcia u boku. Ów fragment dowodzi, że masz odpowiednie wyczucie sprawy, czy raczej ten zmysł czulej obserwacji. Oby tak dalej i obficie!

Mój mąż Norman, nie mówiący po polsku, bardziej ten temat rozumiał niż polskie zawiłości historyczne, którymi zajmowałam się wcześniej, i o których próbowałam mu opowiedzieć. Był wręcz entuzjastą tej książki. Mój syn - Tomek, architekt i fotoreporter - patrzył na mnie trochę ze zdumieniem, mówił: *Mamo, uważaj, by nie odebrali cię jako ekscentryczkę, niektórzy znajomi w Polsce byli - powiedzmy - sceptyczni. W Polsce, jak mi napisał przywoływany wcześniej Krzysztof Koehler, wciąż zwierzęta są tematem do końca nie ujętym i traktowanym jako sprawa prywatna.*



Norman Boehm z kotką Suzy, Crazy Horse Memorial, South Dakota, fot. arch. A. Ziółkowskiej-Boehm.

Gdy wydawca ogłosił książkę na drugim miejscu bestsellerów roku 2002, które zdobyła będąc tylko dwa miesiące na rynku, gdy została wybrana przez księgarzy w Polsce „książką tygodnia” (ostatniego tygodnia grudnia 2002), jakby wszyscy sceptycy zmienili zdanie i mówili, że stało się to po lekturze. Przyznam, że i ja się

bałam, żeby to nie była książka „kici, kici”, tylko życzliwa i przyjazna, ale też z dystansem do tematu.

Największą bodaj radość sprawiła mi słynna warszawska Księgarnia Naukowa im. B. Prusa, która całe okno wystawowe poświęciła specjalnie tej książce.

W jakim momencie Pani działalności pisarskiej powstała ta książka?

- Przez trzy lata współpracowałam z Jerzym Giedroyciem przy tomie z cyklu *Archiwum Kultury*, który ukazał się tuż po jego śmierci „Korespondencja: Jerzy Giedroyc - Melchior Wańkowicz”. Opracowanie listów, przypisy, wstęp, ustalenia, które konsultowałam z Redaktorem, dotyczyły nieraz trudnych tematów. Dotyczyły okresu tuż po wojnie, trudnych lat emigracji politycznej. Konflikty, nieporozumienia, różnice zdań, wyroki wydawane na kolegów, ostracyzm, wielka i mała polityka - były tematem wielkiej emigracji tych lat. Mając dostęp do archiwum Wańkowicza, bo jest ono zapisem testamentowym pisarza w moim posiadaniu, znając więc pewne sprawy od jego strony, musiałam niejako walczyć o jego - ogólnie mówiąc - sprawy i jego dobre imię.

Nie przeciągając już tego zagadnienia, chcę powiedzieć, że niełatwo mi było, osobie urodzonej kilka lat po wojnie, zmierzać się z tematyką i problemami, które znam jedynie z dokumentów. Spoczywał na mnie obowiązek obrony imienia pisarza, a jednocześnie byłam pod wielką presją wielkiego Redaktora paryskiej „Kultury”. Wymieniliśmy wspólnie ok. 300 listów i faxów, pojawiały się konflikty i ostrości, zawsze jakoś wyprostowujące się.

Po takiej pracy dokumentalisty chciałam mieć swoistą przerwę i... napisałam książkę, której pisanie było dla mnie swoistą terapią. Chcę wspomnieć, że Jerzy Giedroyc lubił zwierzęta i od czasu do czasu pytał mnie - jak pani koteczka?...



Aleksandra Ziółkowska-Boehm z kotką Suzy, fot. arch. A. Ziółkowskiej-Boehm.

„Podróże z moją kotką” wyszły również w Ameryce po angielsku. Jak książka została odebrana przez angielskojęzycznego odbiorcę?

- Była to moja druga (po książce na tematy Indian) książka w języku angielskim, która ukazała się w Stanach. Przeczytałam piękną opowieść o nawiązanej bliskości niewidomego z psem, i napisałam do wydawcy - *Purdue University Press (West Lafayette, Indiana)*, że ja mam podobną książkę... o nawiązanej szczególnej bliskości z kotem. Dostałam mailem odpowiedź, aby przysłać fragment, potem drugi mail, by przysłać więcej i niebawem zaproponowano mi podpisanie umowy.

Co mnie ucieszyło, że książkę nie wydał wydawca, który „kocha koty”, tylko uniwersyteckie wydawnictwo, które drukuje piękne książki. *Purdue University*

szczyści się wysokim poziomem studiów weterynaryjnych (*College of Veterinary Medicine*).

Książka ma tytuł „On the Road with Suzy. From Cat to Companion” (ISBN 978-1-55753-554-2).

Pojawiły się ładne recenzje i głosy, między innymi wspomianej wcześniej autorki książek Audrey Ronning Topping.

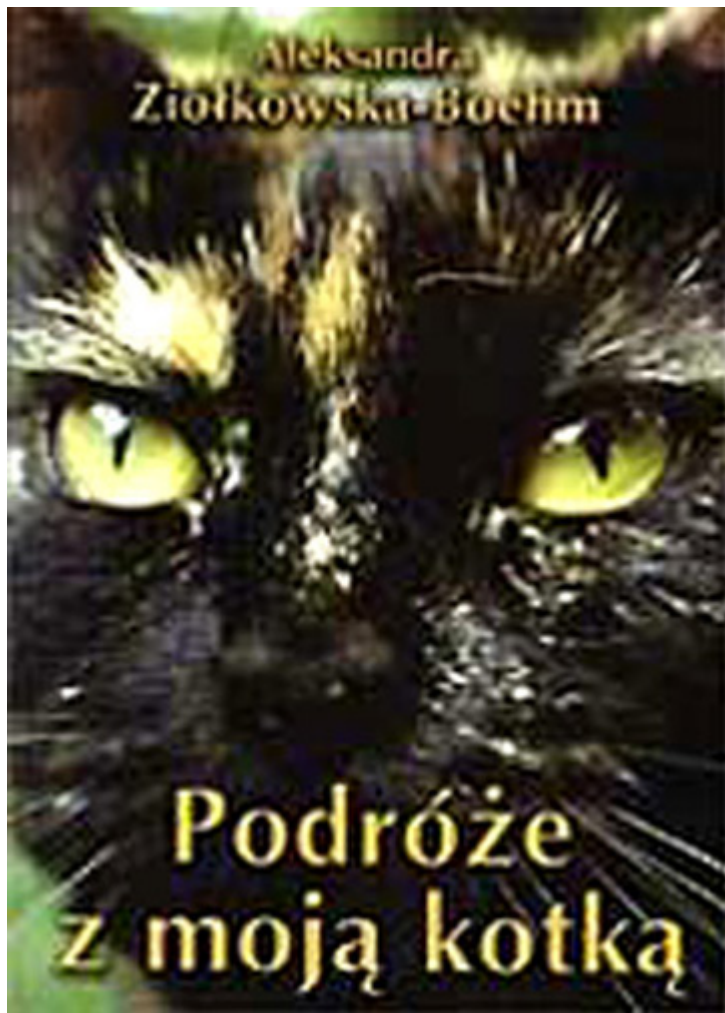
Dwa rozdziały w książce są pióra mojego syna (Thomas Tomczyk) - na temat amerykańskiej „farmy dla kotów” (*A Second Chance Farm*) i na temat zwierząt w Indiach (*Animals in India*). Zacytowany jest Mahatma Gandhi, że... *wielkość narodu i jego postęp moralny może być oceniany według sposobu, norm, w jaki traktuje zwierzęta (The greatness of a nation and its moral progress can be judged by the way its animas are treated).*

Książka miała już kilka wydań, a Pani nadal ma spotkania z czytelnikami, których ujęła Suzy i stworzony przez Panią literacki świat. Proszę o tym opowiedzieć.

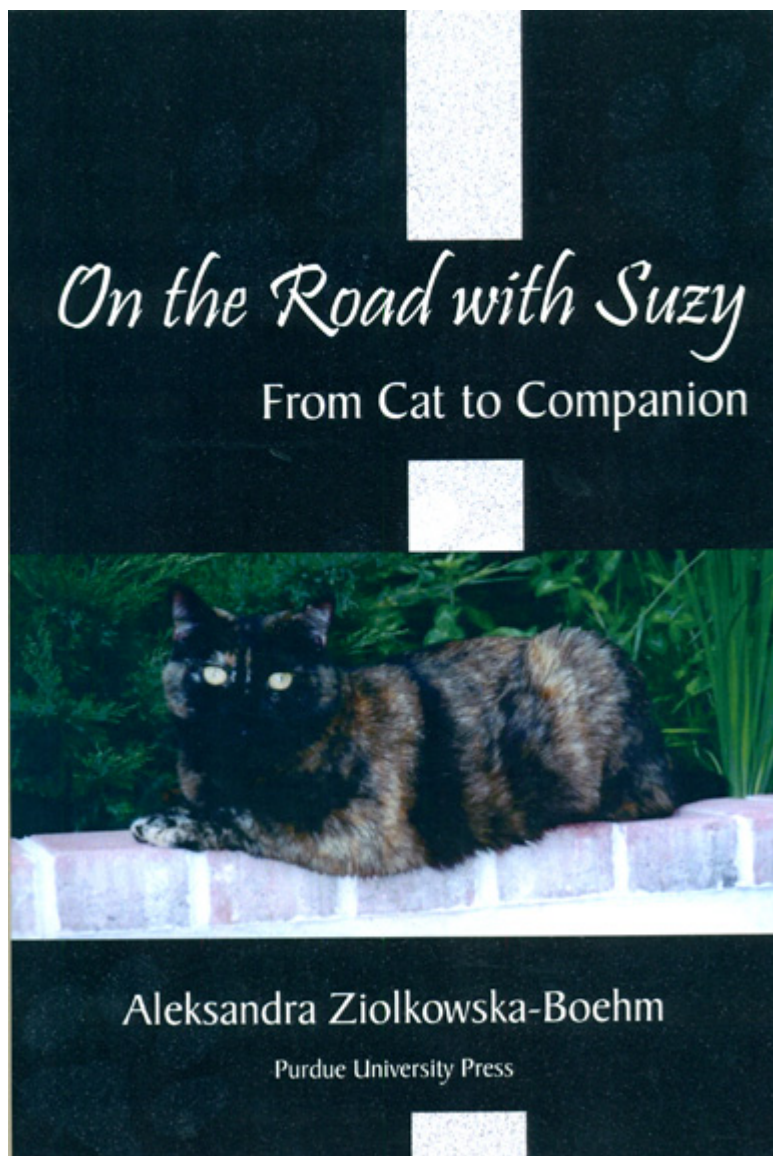
- „Podróże z moją kotką” w języku polskim miały dwa wydania, na spotkaniach nieraz jestem pytana - czy napiszę dalszy ciąg przygód Suzy. Amerykańskie wydanie „On the Road with Suzy From Cat to Companion” ukazało się w 2010 roku i wciąż ma dodruki. Wydawca amerykański - widząc, jakie ten tytuł ma powodzenie, wysłała mi do wewnętrznych recenzji teksty, nad których wydaniem się zastanawia.

Niemalą radość sprawia mi, że książka miewa się dobrze... (ale kotom tego nie mówię...).

Polskie wydania „Podróży z moją kotką”



Angielskie wydanie „On the Road with Suzy. From Cat to Companion”



Dyrygent europejskich kultur

**Basha Maryanska - malarka, artystka gobelinów, kuratorka wystaw.
Laureatka Złotej Sowy 2018 w kategorii: Sztuki wizualne.**



Basha Maryanska po odebraniu statuetki Złotej Sowy Polonii, Polska Akademia Nauk, Wiedeń.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Jest Pani znanym w Nowym Jorku kuratorem wystaw promującym w Ameryce sztukę europejską, w tym w znacznym stopniu polską. Jak do tego doszło?

Basha Maryanska: Po przyjeździe do Nowego Jorku na stypendium Fundacji Kościuszkowskiej w 1985 roku szybko zaczęłam współpracować z grupą *Polish American Artists Society* (PAAS) i wzięłam udział w wystawie *Voices of Freedom* zorganizowanej w *Arsenal Gallery* - pięknej, historycznej galerii w Central Parku, w

której swoje prace wystawiał m.in. Marc Chagall. Były to czasy Solidarności, w Ameryce dużo się pisało i mówiło o Polsce. W wystawie wzięli udział wspaniali polscy artyści, plakat zaprojektował Rafał Olbiński. Po Nowym Jorku zaprosiła nas bardzo dobra galeria na Long Island w East Hampton, którą odwiedzali bogaci ludzie, właściciele wielkich domów w okolicy. Wystawa stała się dużym wydarzeniem dla nowojorskiej publiczności, krytycy napisali wiele świetnych recenzji. Uświadomiłam sobie wówczas, jak wielką siłę może mieć pokazywanie polskiej sztuki w Ameryce.

JSG: Nowy Jork jest miejscem, w którym spotykają się kultury świata i wspaniale ze sobą koegzystują. Tu z powodzeniem można pokazywać sztukę spoza amerykańskich wpływów kulturowych, bo publiczność jest na nią otwarta.

BM: Tak, dlatego mieszkam blisko Nowego Jorku i od lat z tym miastem jestem związana. Mój *background* jest międzynarodowy. Miałam babcię Francuzkę, studiowałam w Polsce i w Paryżu. Chęć podróżowania i otwartość na świat wyniosłam z domu. Gdziekolwiek jestem, dobrze się czuje w otwartych środowiskach. A kontakt z ludźmi ponad kulturami jest właśnie tym, o czym zawsze marzyłam.

JSG: Jak po wystawie *Voices of Freedom* potoczyły się Pani losy jako kuratora wystaw?

BM: Zaczęłam pracować w *New Century Gallery* u Chany Benjamin, która też ceniła międzynarodowy kontekst. Pasowałam do jej koncepcji. I tak zostałam kuratorem. Po pewnym czasie już nie wystarczyły mi wystawy, chciałam, aby artyści razem pracowali, dlatego zaczęłam organizować plenery *Artists Residencies*. Zarówno wystawy, jak i plenery przyciągały doskonałych amerykańskich krytyków sztuki. Na wernisaże przychodził m.in. Ed McCormack, jeden z najlepszych krytyków sztuki w Ameryce. Pisał świetne recenzje, pokazywał danego artystę w kontekście różnych stylów i epok. Pozostało więc bardzo dużo artykułów, które się ukazały w Nowym Jorku na temat artystów, których pokazywałam. I tak minęło 16 lat współpracy. Chana Benjamin przeszła na emeryturę, a ja pomyślałam, że skoro tyle lat się uczyłam (zorganizowałam też wiele wystaw międzynarodowych jako część wystaw w innych galeriach), może więc przyszła pora, abym sama zajęła się promocją sztuki. Od 2001

roku jestem więc nieprzerwanie samodzielnym kuratorem wystaw, promującym europejską sztukę w Ameryce i Amerykańską sztukę w Europie.



Dawna pracownia Bashi Maryanskiej w Beacon.



Basha Maryanska, Arizona plener 2013 r.

JSG: Czym się Pani kieruje przy wyborze artysty?

BM: Wybieram przede wszystkim ludzi, którzy mają wielki talent. Prawdziwych artystów poznaje się po tym, że bez względu na okoliczności i tak będą tworzyć. Oprócz tego muszą być to ludzie chętni do współpracy i rozumiejący trudności. Wystawa zbiorowa rządzi się swoimi prawami, artysta musi wiedzieć, że nie tylko jego twórczość będzie pokazywana, że musi się dopasować do głównej idei. Zwykle pokazuję artystę w szerszym kontekście. Każdy z artystów ma coś takiego, co reprezentuje jego i kulturę, z której przyszedł. I ten kontekst, który stwarzają artyści z Polski, Francji, Niemiec, Hiszpanii, czy z Indii, nagle się ujawnia, gdy ci wszyscy ludzie zaczynają razem pracować. A ja czuję się jak dyrygent – każdy gra swoją część, ale dopiero wszyscy razem zagrają cały utwór.

JSG: Czy przygotowując wystawę ma Pani koncepcję i dobiera do niej artystów, czy też dopiero po wyborze artystów wyłania się temat?

BM: To jest różnie. Czasem widzę grupę ludzi mających takie cechy, że można ich razem pokazać, a innym razem mam kogoś, kogo warto pokazać, ale nie mam jeszcze kontekstu. Czekam więc, aż znajdzie się ktoś kogo prace ten kontekst stworzą. Tak jak powiedział profesor Józef Szajna na zajęciach ze scenografii w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie – przedmioty są jak ludzie, czasem się kochają, a czasem się nienawidzą i od tego się nie ucieknie. Tak więc jak się zestawia prace na wystawę to one tworzą całość i wszystkie elementy muszą się „lubić”, aby podkreślać wzajemnie swoje walory. Zapraszam ludzi zajmujących się różnymi technikami – malarzy, rzeźbiarzy, tkaczy, fotografów, ale ich twórczość musi mieć wspólną energię. Wszystkie prace tworzące wystawę odgrywają swoją rolę i składają się na jedno przedstawienie, jak w teatrze.

JSG: Czy może Pani opowiedzieć o artystach, z którymi Pani współpracowała, a którzy potem zaistnieli na arenie międzynarodowej?

BM: Pokazałam kiedyś w *New Century Gallery* Barbarę Frankiewicz z Krakowa i jej obrazy bardzo szybko się sprzedały. Basia jest niesłychanie ambitną i twórczą osobą, niezależnie od wielu nagród nie osiadła na laurach i dalej maluje, bo zmusza ją do tego jej twórcza energia. Teraz ma wiele kontaktów na świecie, klienci przyjeżdżają do niej do Krakowa, żeby kupić jej prace. Jej twórczość przekonuje, ma w sobie to

coś.

Miałam też artystkę z Hiszpanii, Marię Angeles Hegglin, która była urzędniczką w Córdobie. Malowała, od kiedy pamiętała, ale rodzice nie pozwolili jej pójść na Akademię Sztuk Pięknych, bo nie zdobędzie zawodu, który daje utrzymanie. Maria trafiła na moją wystawę i kupiła z tej wystawy jeden obraz. Potem przez rok przychodziła do mnie na lekcje. Po tym kursie wraz z mężem pojechała do Niemiec i w Berlinie zapisała się na Akademię Sztuk Pięknych. W 2016 roku zaprosiłam ją na międzynarodowy plener, który odbywał się w przepięknym pałacu Czartoryskich w Gołuchowie. Maria niezwykle tam się otworzyła i zaczęła niesłychanie wspólnie malować. To było dla mnie olśnienie, że ona tak się rozwinęła. Maria cały czas maluje, wystawia i jest wziętą artystką.



Neela Pushparaj, Arizona plener 2013 r.



Virginia Donovan, Arizona plener 2013 r.

JSG: Oprócz Gołuchowa w Polsce były też plenery w Myślenicach, w Łańcucie, a we wrześniu 2018 r. będzie plener w Krakowie. Jakich artystów zapraszała pani na plenery do Polski?

BM: Zaprosiłam Czeszkę Helgę Santel, która jako dziecko wyjechała z rodzicami do Niemiec, a teraz mieszka w Stuttgarcie. Ona tworzy gobeliny i maluje akwarele. To jest przedziwne połączenie – akwarela, wymagająca chwili i tkanina, potrzebująca pracy i skupienia. Są to więc techniki przeciwne, a ona jednak je łączy.

Poza tym jest Bonie Shanas, która urodziła się w Ameryce, ale mieszkała i pracowała w Izraelu. Mówi po polsku, bo jej babcia mieszkała w Polsce przez wiele lat. Ona tworzy siatki, a na nich rzeźbi postaci kobiece. W jej pracach jest wiele liryzmu i poezji. Była z nami na plenerze w Łańcucie. Potem zawiozłam ją do Kazimierza na Wisłą. Miasto podpisało z nią umowę i do tej pory jej prace są wystawiane w Galerii Leonardo w Kazimierzu.

JSG: Kathryn Hart, rzeźbiarka z Colorado, z która uczestniczy w różnych Pani projektach, cztery razy była z Panią w Polsce. Co takiego artystom z innego kręgu kulturowego podoba się w kraju nadwiślańskim?

BM: Kathryn Hart wszystko się w Polsce podoba. Ona mówi - „jestem Polką”. Podoba jej się energia, duch, twórczość, otwartość Polaków i to, że w Polsce ceni się artystów. Ona dużo podróżuje po świecie i uważa, że takiej spontaniczności w podejściu do sztuki i w kontaktach z ludźmi nigdzie nie ma jak w Polsce. Teraz wiozę do Polski po raz drugi Australijczyków. Będą w Krakowie. Irina Korotkow zajmuje się sztuką współczesną, zestawia wszystko ze wszystkim i robi to świetnie, a Mervyn Beamish maluje. Jego obrazy są niesłychanie żywe w kolorach, używa zestawień kolorystycznych podobnych do Delacroix'a, albo Vlaminck'a, a jednocześnie jest abstrakcyjny. Oni też są zachwyceni Polską.

W Polsce była już trzy razy Neela Pushparaj z Indii. Neela jest emerytowanym lekarzem, ale maluje od zawsze akwarele. Tematem jej obrazów są ogrody kwiatów. Wydawałoby się, że kwiaty to oklepany temat, ale nikt nie maluje takich kwiatów jak ona. Ona nie idzie ze sztalugą w plener i nie kopiuje tego co widzi, jej kwiaty są w niej i wypływają z niej wprost na płótno. Ona też bardzo lubi Polskę.

Virginia Donovan jest bardzo ciekawą artystką, która była od lat malarką tradycyjną, przedstawiała piękne krajobrazy Doliny Hudson do momentu, kiedy przyszła do mnie na lekcje sztuki współczesnej. Po dwóch latach zmieniła swój styl nie do poznania! Maluje wspaniałe obrazy w stylu *Contemporary Art*, a jej przetworzenia są zaskakujące w kolorze i kompozycjach! Jeździ z nami do Polski, w której świetnie się czuje i bywa na wszystkich moich plenerach i prezentacjach!

SAINT AUGUSTINE, FL

International Artists Residency Program



Basha Maryanska Coming to the Shore

February 22nd- March 8th 2014

ARTISTS

Virginia Donovan
MariaAngelesHegglin
Nihal Kececi
Basha Maryanska
Neela Pushparaj
Helga Santel

Hampton Inn and Suites (904) 827 - 9797
95 Vilano Road, Saint Augustine, FL 32084

ARTISTS RESIDENCY

Virginia Donovan,
Nancy Stella Galianos,
Trina Greene,
Maria A. Hegglin,
Anastasia Hurlin,
Basha Maryanska,
Kristen Morrison,
Neela Pushparaj,
Helen Nana Sacco

April 1-15 2013

**paintings, sculptures, installations,
demos, shows & more...**

Basha Maryanska. "Where is My Way?" Acrylic on Canvas. 51"x35"

**WYNDHAM GREEN VALLEY CANOA RANCH RESORT
5775 S. Camino del Sol
GREEN VALLEY, AZ 85622
(520) 382-0450**

JSG: Oprócz plenerów w Polsce organizuje Pani od lat plenery w Ameryce dla europejskich artystów. Proszę o nich opowiedzieć.

BM: Piękny plener odbył się w Taos w stanie Nowy Meksyk. Taos to miasto sztuki, które ma niesamowitą energię twórczą. Wpisane jest na listę światowego dziedzictwa UNESCO i uznane jest za jedno z najdłużej zasiedlonych miejsc na terenie Stanów Zjednoczonych. Od dawna przyciągało artystów. M.in. malowała tu

Georgia O'Keeffe. Na plenerze w Taos byli m.in. Mira Satrian, Dorota Michaluk, przyjechali Australijczycy, była Bonnie Szajnas, Virginia Donovan, Mary Ann Glass, Galina Krasskova i wielu innych.

Na Florydzie plener odbył się w Saint Augustine. To jest najstarsze europejskie miasto w kontynentalnej części USA, założone w XVI w. przez Hiszpanów. Tu się chodzi ulicami jak po Krakowie, ma wąskie uliczki jak we Francji, jest tam cudowna europejska energia. Fantastyczne miejsce do tworzenia. Podobnie plener w Arizonie był inspirujący i wspaniały ze względu na widoczne wpływy sztuki Indian i Hiszpanów. Na plenerach każdy ma swoją prezentację, potem długo dyskutujemy. Dlatego tak ważny jest wielokulturowy element i osobowość uczestników, aby doszło do wymiany energii twórczej. przed plenerem pracuję przez rok, żeby znaleźć odpowiednią grupę.

W miejscach, w których mamy plenery, zawsze zostaje po nas ślad. A dzięki udziałowi polskich artystów, na amerykańskiej ziemi pozostanie ślad polskiej kultury.

JSG: I za całokształt wyteżonej działalności otrzymała Pani w marcu w Wiedniu statuetkę Złotej Sowy Polonii 2018.

BM: Tak i za pracę kuratorską i za moje własne artystyczne osiągnięcia otrzymałam to prestiżowe wyróżnienie. Bardzo się z tego cieszę. Statuetka jest ciężka, ale dzielnie przeleciała przez ocean!



Basha Maryanska (z prawej) i Joanna Sokołowska-Gwizdka w kawiarni przy barokowym pałacu Belweder w Wiedniu, gdzie przeprowadzany był wywiad.



Basha Maryanska na tle swoich obrazów.

Basha Maryanska wraz z Anią Gilmore Organizuje wystawę p.t. *Joy of Freedom* w PIASA - Polish American Arts and Science w Nowym Jorku, która będzie miała miejsce w listopadzie z okazji 100-lecia niepodległości Polski. Każda z kuratorek zaprasza 5-ciu polskich artystów mieszkających i tworzących w USA. Podczas wernisażu na saksofonie zagra Krzysztof Medyna.

Basha Maryanska na Culture Avenue:

<http://www.cultureave.com/basha-maryanska-i-nowojorska--wystawa-metamorphosis-w-warszawie/>

<http://www.cultureave.com/metamorphosis-w-warszawie/>

<http://www.cultureave.com/metamorfozy-bashi-maryanskiej/>

<http://www.cultureave.com/sztuka-jezyk-bez-slow/>

Ide swoją ścieżką...

**Rozmowa z Urszulą Sztorc de Cáceres, tłumaczką i wydawcą pisma
"Komunikat Polonii" w Limie w Peru**



Urszula Sztorc de Cáceres, fot. Janusz Szlechta.

Janusz Szlechta

Jak to się stało, że znalazłaś się w Peru i zostałam obywatelką tego państwa?

Urszul Sztorc de Cáceres

Studiowałam budownictwo lądowe i przemysłowe w Leningradzie (obecnie Sankt Petersburg) w Związku Radzieckim. Tam poznałam mojego męża, który jest Peruwiańczykiem. Skończyliśmy studia w roku 1979 i chcieliśmy zostać w Polsce. Wówczas robiono jednak wielkie trudności obcokrajowcom, mojemu mężowi też, więc nie było wyjścia - wyjechaliliśmy do Peru.

To jest piękny kraj, ale przecież tak bardzo różny od Polski, z zupełnie inną kulturą. Jak udało Ci się tam odnaleźć, jak się zaadaptowałaś?

Początki były piękne. Bo jak człowiek jest bardzo młody, żyje beztrosko, bez dzieci, jest zakochany, to wszystko mu wydaje się piękne. Dopiero kiedy przychodzą na świat dzieci, kiedy zaczynasz mieć coraz więcej obowiązków, to narastają trudności.

Lima, gdzie mieszkam, jest 8-milionowym miastem. Komunikacja miejska jest tu w stanie beznadziejnym, tak że poruszanie się po mieście jest bardzo trudne. Przyjechałam do nowego dla mnie kraju, nie znałam ludzi, nie znałam panujących tu realiów - bardzo trudno było mi żyć. W Peru życie oparte jest na znajomościach - im więcej masz znajomych, tym lepiej żyjesz. Powoli, powoli, każdy człowiek zaczyna wydeptywać swoje ścieżki, więc i ja wydeptywałam swoje. Trudno się do tego przyzwyczać, mam z tym problemy do dzisiaj.

Szukałaś pracy w swoim zawodzie?

Oczywiście, że szukałam, ale w tym czasie w Peru kobiety w ogóle nie pracowały w budownictwie. W końcu lat 70. kobieta mogła być nauczycielką, pielęgniarką albo sekretarką. Kobieta inżynier nie istniała, nie było więc dla mnie pracy. Nie pracowałam przez pewien czas, a potem znalazłam pracę jako tłumacz języka rosyjskiego. Robiłam też tłumaczenia na hiszpański z języka polskiego dla polskiej ambasady, ale zdarzało się to sporadycznie. Teraz tych tłumaczeń jest troszeczkę więcej, ale też nie za wiele. Jednakże tłumaczenia stały się moim podstawowym zajęciem. Dzięki temu jakoś się realizuję i czuję się potrzebna. W Peru kobiety zarabiają o wiele mniej niż mężczyźni, więc to, co ja zarobię, wystarcza na... lody.

To mąż zatem utrzymuje dom?

Tak, Domingo zarabia całkiem nieźle. Jest inżynierem budowlanym i pracuje jako inspektor na budowie. W Peru istnieje tak zwane *machismo*, czyli że mężczyzna musi utrzymać rodzinę.

Jestem już ponad 30 lat w Peru, zaaklimatyzowałam się i nie jest mi źle. Mam średnio wyższą pozycję w hierarchii społecznej, ale... zawsze tęskniłam i tęsknię za Polską. Kiedy przyjeżdżam do kraju, pobędę jakiś czas, nacieszę się, wtedy mówię sobie -

pora wracać do Limy. A po pewnym czasie w Limie zaczynam tęsknić i marzę o tym, żeby znów polecieć do Polski.

Jak często bywasz w Polsce?

Początkowo przylatywałam co 2-3 lata, potem co roku. A to dlatego, że moja córka Agata studiowała dziennikarstwo na Uniwersytecie Wrocławskim. Od dziecka na wakacje jeździła do dziadków w Polsce. Pierwsze słowa, jakie wypowiedziała, też były polskie, więc to chyba przesądziło, że wybrała studia w Polsce.

W jakim języku rozmawiacie w domu?

Trochę po rosyjsku, trochę po polsku i hiszpańsku – w zależności od tego, co komu przyjdzie do głowy. Nauczyłam mowy polskiej Agatę, nauczyłam też męża. Domingo nie mówi może doskonale, ale trochę pisze po polsku, świetnie rozumie i nie ma żadnych trudności z towarzyską dyskusją. Nawet psa nauczyłam rozumieć polską mowę, a tak w ogóle to pies jest poliglotą.

Jak wyglądało Twoje wejście w rodzinę męża?

Nie miałam zbyt dużo problemów. Największe, na początku, miałam z teściową. Okazuje się, że nieważne, czy to jest w Polsce, w Stanach Zjednoczonych czy w Peru – problemy z teściowymi są wszędzie i zawsze. W Peru tak naprawdę jest matriarchat – matka jest głową rodu, a ojciec od zarabiania pieniędzy. Ponieważ więzi w peruwiańskich rodzinach są bardzo silne, więc matce jest bardzo trudno popuścić trochę swoim dzieciom, dla niej dziecko jest zawsze dzieckiem. My w Europie jesteśmy bardziej samodzielni, poza tym mamy inną kulturę i mentalność, więc na początku starcia były. No, ale z czasem sprawy nabrały innego wymiaru, wszystko się poukładało.

W jakim języku kłóciłaś się z teściową – po hiszpańsku?

No nie, przyjechałam praktycznie bez znajomości hiszpańskiego. Na początku mój mąż wszystko tłumaczył. Ale kiedy wyszedł do pracy, to rozmawialiśmy przy pomocy rąk i nóg. Nie umiałam się wysłowić, więc byłam potulna i grzeczna, ale też nie rozumiałam, czego na przykład teściowie ode mnie oczekują. Kiedy już zaczęłam więcej rozumieć, zaczęły się pojawiać problemy, przede wszystkim dlatego, że

chciałam prowadzić mój dom na naszą modłę, a nie na modłę teściowej.

Kiedy przychodzą święta Bożego Narodzenia, to jak je obchodzicie?

Po peruwiańsku, nie po polsku. Pewnie dlatego, że wtedy jest ciepło, no i jest łatwiej. No bo wezmę indyka, włożę do piecyka, upiekę i po sprawie. A nasza Wigilia wymaga sporego zachodu.

Natomiast staramy się, aby spotkania Polonii odbywały się w polskiej atmosferze. Co roku 25 grudnia organizujemy polską mszę, którą odprawia ksiądz Czesław Faron. Po mszy odbywa się spotkanie. Ktoś przyniesie śledzika - bo akurat dostał z Polski, lub makowiec, piernik czy inną polską potrawę i przez chwilę czujemy się jak przy stole rodzinnym.



Lima, fot. flickr

Jak wielu jest Polaków w Limie, jak wyglądają Twoje kontakty z Polakami?

W samej Limie jest około stu polskich rodzin, czyli jakieś 600 osób. Większość z nich

są to jednak tylko osoby pochodzenia polskiego. Osób mówiących dobrze po polsku, biorąc pod uwagę nawet pracowników ambasady, jest garstka, najwyżej 30.

Od ponad 20 lat działa nasze stowarzyszenie Związek Rodzin Polsko-Peruwiańskich „Dom Polski”. W każdy pierwszy czwartek miesiąca o godzinie 7 wieczorem, w pomieszczeniach polskiej ambasady, organizujemy spotkania członków stowarzyszenia. Mamy do dyspozycji bibliotekę i salony ambasady. Każdego takiego wieczoru ktoś przygotowuje informacje na temat aktualnych wydarzeń w Polsce albo na temat obchodzonej właśnie ważnej rocznicy, a potem są ciasteczka, kawa, herbata i rozmowy towarzyskie. Wtedy wreszcie każdy może się wygadać po polsku.

Na spotkania do ambasady przychodził wraz z żoną **hrabia Stanisław Potocki**, brat ostatniego ordynata Łańcuta. Od czasu do czasu zapraszał do Limy muzyków z Łańcuta i urządzał wspaniałe koncerty polskiej muzyki. *(Stanisław Potocki zmarł 28 lipca 2014 roku w Limie w wieku 82 lat. Jego prochy zostały przewiezione do Łańcuta i złożone obok prochów rodzinnych w krypcie kościoła farnego, przyp. red.)*.

Pojawiała się też etnohistoryk prof. Maria Rostworowska, która należała do grona najwybitniejszych naukowców latynoamerykańskich *(zm. w 2016 r., przyp. red.)*. Przychodził prof. Krzysztof Makowski, archeolog, prowadzący w Peru prace wykopaliskowe z wielkimi osiągnięciami. Bywają też potomkowie Polaków, którzy bardzo dużo zrobili w przeszłości dla Peru, m.in. profesora Edwarda Habicha – założyciela Politechniki Limeńskiej. Mogłabym wymienić jeszcze wiele znanych i znaczących w Peru nazwisk Polaków. Większość z tych osób znam osobiście, utrzymuję z niektórymi bliskie kontakty.

Muszę dodać, że współpraca z polską ambasadą układa się nam bardzo dobrze. Przed laty próbowano sprzedać budynek ambasady z całą posiadłością. Jest to piękne miejsce, ważne dla nas i my, jako stowarzyszenie, wystosowaliśmy protest do Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP. Schlebiamy sobie, że to dzięki nam nie doszło do sprzedaży ambasady.

Jaka jest ta peruwiańska Polonia, jakie są jej związki z Polską?

Większość stanowią małżeństwa mieszane z końca lat 70. i początku 80., kiedy to Peruwiańczycy studiowali jeszcze w Polsce. W naszym stowarzyszeniu jest tylko

jedno małżeństwo, w którym mąż jest Polakiem, a żona Peruwianką. Prawie wszyscy mają wyższe wykształcenie, ale różnie wygląda ich sytuacja. Jednym powodzi się lepiej, innym gorzej. Niektórzy Polacy są bardzo dobrze sytuowani, ale większość należy do klasy średniej. Biednych nie ma, bo Polacy zawsze coś sobie znajdą, nie czekają, aż im samo z nieba kapnie.

Jeśli chodzi o związki z Polską - to w większości rodzin jest podobnie, jak w mojej: żony ciągną do kraju ojczystego i starają się, aby ich dzieci przynajmniej trochę rozumiały i mówiły po polsku. Niektóre, jak moja Agata, studiowały w Polsce.



Lima, Peru



Lima, Peru

Do niedawna zajmowałaś się wydawaniem polskiego periodyku. Co to była za gazeta, do kogo skierowana?

Był to niewielki biuletyn, wydawany w języku hiszpańskim, raz w miesiącu, skierowany do członków naszego stowarzyszenia, ułatwiający nam wzajemną komunikację. Nazywał się „Biuletyn Związku Rodzin Polsko-Peruwiańskich Dom Polski”. Zamieszczałam informacje o tym, co udało nam się zrealizować i o tym, co

zamierzamy robić w najbliższej przyszłości. Staralam się dawać kompendium wiedzy na temat najważniejszych aktualnych wydarzeń w Polsce. Zamieszczałam też mini lekcje języka polskiego, czyli wybrane tematycznie zwroty i polskie słówka. Z rzadka ktoś mi w tym pomagał, bo generalnie ludzie niechętnie garną się do pracy, za którą nikt im nie płaci. Wcześniej pomagała mi Krystyna Ciapciak, a kiedy zostałam prezesem stowarzyszenia - Agata, ale gdy wyjechała do Polski, zostałam sama.

Ale już nie wydajesz biuletynu - dlaczego?

Po pierwsze dlatego, że jakiś czas temu zmienił się prezes - po nim został Juan Kędziński; niestety, po polsku znał tylko kilka słów. Potem na dłużej wyjechałam do Polski. Biuletynem zajęła się więc inna osoba.

Czy masz kontakty z Polakami z Polski?

Owszem, ale ostatnio zarówno ja, jak i moi przyjaciele, staramy się ich unikać.

Dlaczego?

Bo są osoby, które przyjeżdżają, nawiązują z nami kontakty i starają się nas wykorzystać do różnych niecznych celów. I teraz, jeśli ktoś przyjeżdża z Polski, to owszem, chcielibyśmy mu pomóc, ale boimy się, bo nie wiemy, kto to jest i co zamierza. Kiedyś mężczyzna, który przyleciał prosto z Polski, zadzwonił do nas i rozmawiał z mężem. Chciał się z nami spotkać, ale się nie pokazał. Po tygodniu znajomi mi powiedzieli, że siedzi w więzieniu za narkotyki. W więzieniach peruwiańskich coraz więcej jest Polaków, którzy zajmują się handlem narkotykami. Ci ludzie, dla pieniędzy, narażają nas.

Czy zatem, po tylu latach spędzonych w Limie, bardziej się czujesz Polką czy Peruwianką?

Wsiąkłam już w tutejsze życie, tu jest mój dom, moja rodzina, ale... wciąż czuję się Polką. I wciąż tęsknię za krajem.

Wywiad pochodzi z książki Janusza M. Szlechy „Widziane stamtąd. Wybór wywiadów z Polakami żyjącymi gdzieś w świecie”, wyd. Instytut Wydawniczy Kreator, 2017 r.



Gwiazdy i melodie

Rozmowy o książkach, które nie przemijają

Rozmowa z Janem Tyszkiewiczem kompozytorem i wieloletnim autorem programów muzyczno-rozrywkowych sekcji polskiej Radia Wolna Europa.



Jan Tyszkiewicz i Jerzy Kisielewski, fot. arch. Jana Tyszkiewicza.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Jestem po lekturze Pana książki pt. „Arystokrata bez krawata. Gwiazdy i melodie” oraz wysłuchaniu dołączonej płyty z piosenkami - w większości z Pana kompozycjami. Muszę przyznać, że ciągle chodzą mi po głowie te melodie i nie mogę się od nich „uwolnić”. Książka jest zbiorem wywiadów w większości z polskimi gwiazdami piosenki i teatru, które wykonują Pana utwory. Czytając i jednocześnie słuchając nagrań, miałam wrażenie, że przysłuchuję się wartko przebiegającym, dowcipnym i pełnym anegdot rozmowom w kawiarnianej atmosferze. Czy rozmowy te przeprowadzał Pan z myślą o radiu, czy też od razu z myślą o książce?

Jan Tyszkiewicz

Tym razem rozmowy przeprowadzałem z myślą o książce, bo książka i płyta są jednak bardziej trwałe niż program radiowy. Ale pani powiedziała coś bardzo ważnego, że czytała pani moją książkę słuchając jednocześnie piosenek. To było

moim marzeniem, bo tylko słuchając i czytając równocześnie, można właściwie odebrać moją intencję. To było moim zamierzeniem.

Po dwóch poprzednich Pana książkach wspomnieniowej - „Arystokrata bez krawata” i sensacyjnej - „Karecie Asów”, czy pomysł na kolejną książkę jest wynikiem Pana pracy zarówno jako i radiowca, jak i kompozytora?

Absolutnie tak. Jako radiowiec stęskniony byłem przez te lata pracy w Radio Wolna Europa za osobistym kontaktem na antenie z polskimi artystami, bo przecież jak wiadomo, nie wolno było występować im w naszych audycjach. Rozmawiałem wtedy z całym światem artystycznym oprócz Polski. No, a jako kompozytor - jestem wdzięczny tym wszystkim polskim artystycznym osobowościom, że zechciały nagrać moje piosenki.

Pana rozmowy często zaczynają się od zwykłych, codziennych spraw, a potem, nie wiadomo kiedy rozmowa dotyka głębszych pokładów w człowieku, czy też przechodzi do ogólnych przemyśleń na temat rzeczywistości. Czy ma Pan jakiś specjalny klucz, którym otwiera Pan ludzi?

Na pewno te setki rozmów przy mikrofonie dały mi nie małe doświadczenie w otwieraniu ludzi. Ale myślę, że takim głównym kluczem jest podejście do człowieka, którego nauczyłem się jeszcze jako młodziutki chłopak od mojego ojca, a potem od mojego stryja Michała, męża Hanki Ordonówny. Nie ważne czy to jest angielska królowa, król Hiszpanii, portier w hotelu, czy kierowca taksówki - każdy człowiek ma swoją wrażliwość, jest osobną książką i zasługuje na to, żeby się przy nim zatrzymać. Naturalnie są też ludzie bardzo ciekawi i fascynujący, mniej ciekawi, a czasem całkiem nieciekawi.

Czy dla Pana rozmowy z polskimi artystami po 1989 roku, były jednym ze źródeł informacji o współczesnej polskiej rzeczywistości i polskiej kulturze?

Od artystów wiele dowiadywałem się o współczesnej polskiej kulturze i jej mechanizmach. Ale muszę pani zdradzić pewną tajemnicę. O prawdziwej współczesnej rzeczywistości dowiadywałem się od kierowców taksówek. To z nimi nagrywałem pierwsze wywiady, kiedy zacząłem przyjeżdżać do Polski, najczęściej tak od razu na gorąco, gdy odwozili mnie z lotniska do hotelu. W większości byli

niezmiernie elokwentni i barwnie opowiadali o codziennym życiu. Bardzo lubiłem także rozmawiać z prostymi ludźmi, ze sprzedawcami w sklepach i w kwiaciarniach. Gdy po 50 latach wolno mi było przyjechać do Polski, wszystkiego byłem złąkniony, wszystko mnie interesowało, zupełnie wariowałem, chciałem z każdym człowiekiem, jakiego spotkałem nagrywać wywiad, choć na to nie miałem ani czasu, ani tyle miejsca na antenie. Mnie ludzie szalenie interesują. I wcale nie muszą być gwiazdami. Zacząłem nawet w myślach pisać książki o ludziach. Chodziłem np. do kawiarni i „czytałem” ludzi. Czasami podchodziłem do kogoś i pytałem się: przepraszam, że panu przeszkadzam, ale czy pan nie jest przypadkiem doktorem medycyny? Zdarzało mi się, że zgadłem i zaczynała się wtedy ciekawa wymiana zdań.

Patrzy Pan na ludzi tak jak pisarz, wnikliwie, nie powierzchownie.

Nauczyłem się tego po dwóch latach pobytu w obozie koncentracyjnym w Dachau, kiedy nie można było zamienić paru słów z drugim człowiekiem, tak od serca, trzeba było uważać, aby za dużo nie powiedzieć i trzeba było umieć czytać ludzi. Mnie się wydaje, że najwięcej nauczyłem się od życia, życie dało mi więcej niż studia. Tłumaczone są teraz na język angielski moje pamiętniki. Będą miały tytuł „University of Life” – „Uniwersytet Życia”. Bo w życiu można skończyć tyle fakultetów, człowiek się uczy od innego człowieka, od dobrego i od złego, od zwierzęcia, od natury od wszystkiego wokół siebie.

Jak Pan się przygotowywał zarówno podczas pracy w Radio Wolna Europa jak i potem do wywiadów z gwiazdami? Czy zbierał Pan jak najwięcej wiadomości o danej osobie, czy też wolał Pan, aby rozmowa powstała spontanicznie?

Zawsze wolałem wywiady spontaniczne, nie umiałem też przygotować się do wywiadu, bo za bardzo lubiłem improwizację, zarówno w programach, jak i w kompozycjach. Ale nauczyłem się jakoś namawiać ludzi, żeby zmiękli. I tak po pierwszych paru sztywnych zdaniach zaczynała się ciekawa rozmowa. Tłumaczyłem, że nadajemy do kraju, gdzie ludzie wiedzą o nich, ale łakną ich wypowiedzi. I oni wtedy robili się ciepli i mówili to, co na prawdę myśleli. Na koniec rozmowy zwykle ich prosiłem, aby powiedzieli parę słów po polsku. Miałem wiele szalenie miłych przeżyć, wynikających ze spotkań ze znanymi artystami.

Czy może Pan o niektórych opowiedzieć?

Jako młody chłopak byłem potwornie nieśmiały. Ale mój stryj mi powiedział: chłopaku, tak to do niczego nie dojdiesz, musisz nawet bezczelnością jakoś się przebijać. I posłuchałem jego rady. Gdy potem bywałem w Cannes na targach muzycznych MIDEM nauczyłem się już zdobywać ludzi na mikrofon. Rozmawiałem więc z różnymi gwiazdami, których nawet wielkie osobowości z BBC, czy z innych znanych stacji nie mogły zdobyć. Kiedyś podszedł do mnie niepozorny, młody człowiek w okularach. Zaczął mnie szarpać za rękaw i mówi: Ty rozmawiasz z tymi znanymi i sławnymi, a nie wiesz o tym, że ja też niedługo będę wielką gwiazdą. Mówił to z taką wiarą, że posadziłem go obok siebie i nagrałem rozmowę. Wyszedł z tego bardzo ciekawy wywiad. A jak się nazywasz? – zapytałem na koniec. – Elton John – odpowiedział. Po paru latach byłem w Londynie, w studiach BBC. Na korytarzu podszedł do mnie Elton John i podziękował mi, że wtedy w Cannes w niego uwierzyłem.

Zarówno z Pana wypowiedzi, jak i z Pana książki wynika, że ceni Pan młodych twórców.

Bardzo lubię młodzież, a szczególnie od czasu, kiedy napisałem suitę „Song for a Better Tomorrow”. Szalenie cenię młodych ludzi, nie tylko za ich talent, ale też i za ich entuzjazm. Np. po premierze mojej suity w Kościele Mariackim w Krakowie, podeszła do mnie młoda dziewczyna i powiedziała: Przepraszam, że Panu przeszkadzam, ale ja będę na prawdę znaną śpiewaczką. Nazywała się Iwona Handzlik i jak się potem okazało, miała przepiękny głos. A parę dni temu dostała etat w Operze Wrocławskiej. Ja w nią uwierzyłem dlatego, że ona tak bardzo w siebie wierzyła.

Czy Pana wiara w młodych łączy się z Pana młodością i marzeniami, że zostanie Pan kompozytorem, jak Cole Porter?

Na pewno tak. Byłem dzieckiem wojny, później zaczynałem naukę niż inni zaczynają. Dużo zawdzięczam mojemu stryjowi, który mi wytłumaczył najważniejszą teorię życiową: Jeżeli na prawdę czegoś chcesz, to w większości wypadków ci się to uda. Wtedy, kiedy marzyło mi się zostać kompozytorem, wydawało mi się to nierealne. Teraz, też nie uważam się za żadnego geniusza, po prostu napisałem parę piosenek,

ale uwielbiałem swoją pracę, a to jest na prawdę bardzo ważna rzecz.



Jan Tyszkiewicz (w środku), Andrzej Rosiewicz (z lewej) i Krzysztof Daukszewicz (z prawej) podczas benefisu w krakowskim Teatrze STU w 2000 r., fot. arch. Jana Tyszkiewicza.

Na płycie dołączonej do książki są bardzo różne utwory, zarówno pod względem stylu, jak i klimatu, od lirycznych i romantycznych, poprzez żartobliwe, kabaretowe, aż po rap.

Mój najmłodszy syn miał 17 lat, musiałem więc napisać rap, żeby sobie nie myślał, że tylko on umie rapować, a tata jest gorszy. Poza tym ja szalenie lubię kontrasty i inspiracje wpływające z tych kontrastów.

Mam wrażenie, że bliski jest też Panu żart muzyczny i zaskakiwanie słuchacza. Czy to prawda?

Tak, to wynika właśnie z tego, że jestem zwolennikiem kontrastów i niespodzianek. A żart, czy to w muzyce, w sztuce, czy w codziennym życiu cenię sobie ponad wszystko. Poczucie humoru uważam za jedną z najważniejszych ludzkich cech.

Ciekawostką jest umieszczenie na płycie popularnej piosenki góralskiej „Za górami, za lasami...” śpiewanej przez włoski zespół Lauro Minzoniego. Jak udało się Panu nauczyć Włochów śpiewać gwarą góralską?

Włosi są szalenie muzykalni i zdolni. Bardzo lubiłem pracować z Włochami. Co do zespołu Lauro Minzoniego, uczyłem ich śpiewać fonetycznie, a oni bardzo dobrze wymawiali te wszystkie: „Pije Kuba do Jakuba”. W momencie, kiedy zaczynaliśmy nagrywać, bardzo często szeptałem im do ucha „za górami za lasami”, żeby dodać im odwagi. A jak zobaczyli jaką furorę zrobili w Polsce, to sami poprosili, żeby więcej nagrywać z nimi takich piosenek.

Napisał Pan w książce wspomnieniowej, że słuchanie jazzu w Polsce w okresie komunizmu było wyrazem potrzeby wolności. Czy dlatego rozmawiał Pan na antenie Radia Wolna Europa z wieloma wykonawcami jazzowymi i zapoznawał Pan polskich słuchaczy z jazzem?

Wtedy krążyła taka teoria, że jazz dla młodych ludzi, żyjących w kraju pod reżimem komunistycznym, był oznaką swego rodzaju opozycji. Jednak gdy rozmawiałem z jazzmanami, to dlatego, że bardzo ceniłem ich muzyczne osiągnięcia, a także dlatego, że nasi słuchacze często w listach prosili o ich nagrania. Zresztą w Polsce i było i jest bardzo wielu dobrych muzyków jazzowych i jazzowych fanatyków.

Rozmawiał Pan z wieloma słynnymi wykonawcami jazzowymi (Ella Fitzgerald, Louis Armstrong, Count Basie, Duke Ellington, Stan Kenton, Oscar Peterson, Herbie Hancock, John Mc Laughlin). Który z tych wykonawców zrobił na Panu największe wrażenie?

Największe wrażenie zrobił na mnie najmniej znany w świecie jazzu, John Mc Laughlin. Wysyłał na przerwę swoich muzyków z zespołu i sam grał na wszystkich instrumentach, a jak nie umiał na jakimś grać, to imitował go głosem. Tak samo uwielbiałem Stana Kentona za jego sekcję puzonów. Louisa Armstronga, też szalenie lubiłem. Wystąpił kiedyś na festiwalu w San Remo i śpiewał po włosku, choć nikt nie mógł zrozumieć, ani uwierzyć, że był to język włoski. Ale przy tym był taki miły. Wielu Amerykanów uważało go za ambasadora Ameryki, nie tylko w dziedzinie muzyki, ale w ogóle.

A inne osobowości świata muzycznego? Czy któreś ze spotkań szczególnie Pan zapamiętał?

Bardzo duże wrażenie zrobił na mnie Artur Rubinstein. Dostałem jego ukryty numer telefonu do Genewy. Nie odpowiadał na telefony, a miał wówczas 95 lat. Było to podczas stanu wojennego w Polsce, godzinami prowadziłem więc audycje na żywo, ale czasami puszczałem dość długie utwory muzyczne i wtedy mogłem dzwonić do ludzi. Podczas jednej z takich przerw zadzwoniłem do Rubinsteina. Na szczęście sam podniósł słuchawkę. Maestro, przy telefonie Jan Tyszkiewicz - mówię - a on na to od razu odpowiada - to pana matka, z domu Tarnowska - a za chwilę, nie wiedząc skąd dzwonię - niech pan przyjedzie na herbatę. Po tym telefonie szybko zadzwoniłem do mojego szefa Zygmunta Michałowskiego, a on do mnie mówi - co ty tu jeszcze robisz, wsiadaj do następnego samolotu, to bardzo ważna sprawa. I tak zdążyłem na herbatę do Genewy. Rozmowa była tak ciekawa, że zapamiętałem ją na długo.

Zupełnie inny, ale też zaliczany do tych najciekawszych wywiadów miałem z Georgem Harrisonem, już po rozpadzie zespołu The Beatles. Gdy przyjechał do Cannes, zapowiedział, że nie udziela wywiadów. A ja podszedłem do niego na korytarzu i mówię - George, przepraszam bardzo, ale ja tu specjalnie przyjechałem, bo obiecałem moim słuchaczom, że dziś w Panoramie będę z Tobą rozmawiał. - No dobrze, to przyjdź do mojego pokoju - odpowiedział i podał mi numer pokoju. Mieliśmy długą i szalenie ciekawą rozmowę o wszystkim, o muzyce, filozofii, o życiu. Okazał się bardzo inteligentnym człowiekiem.

Kiedy powstała w Panu potrzeba, aby po tylu latach pracy w radio, chwycić za pióro?

Gdy w 1992 roku przeszedłem na emeryturę, to ani jednego dnia nie przestałem pracować. Na szczęście mogłem już wtedy przyjeżdżać do Polski. Mój ówczesny szef Piotr Mroczyk wysyłał mnie więc na wywiady jako tzw. wolnego strzelca. Nagrałem bardzo dużo rozmów, o czym już wcześniej wspominałem. A potem zacząłem marzyć o pisaniu. Napisałem pamiętniki, bo leżały mi na sercu, a poza tym wszyscy mi wmawiali, że w swoim życiu miałem tyle samo negatywnych historii, co i pozytywnych i warto to wszystko utrwalić.

Ma Pan niezwykle bogate życie, dobrze więc, że powstała książka

wspomnieniowa. Kontakt z ciekawymi wykonawcami Pana piosenek doprowadził do powstania książki „Gwiazdy i melodie”. Proszę mi powiedzieć jak wobec tego powstała „Kareta Asów” - powieść sensacyjna, opisująca działania czwórki przyjaciół, przeciwstawiających się światowemu terrorowi i narkotykowym gangom. To przecież zupełnie inny styl pisarski.

Jestem fanatycznym przeciwnikiem narkotyków, bo widziałem młodych artystów, którzy umierali jako młodzi ludzie z powodu narkotyków, stawali się inwalidami. Dlatego przyszło mi do głowy napisanie takiej książki. Na jakiś czas zamieszkałem w małym domku u mojego przyjaciela w Miami na Florydzie i tam spokojnie pisałem. Książkę miałem już prawie skończoną, kiedy w Polsce ogłoszono stan wojenny. W tej sytuacji mój szef wezwał mnie do pracy i książkę skończyłem w Monachium.



Proszę podzielić się swoimi planami artystyczno-pisarskimi. Czy ma Pan w planie kolejną książkę?

Kolejna książka, byłaby połączona albo z filmem, albo z programem telewizyjnym. Chciałbym opowiedzieć o niesamowitych ludziach, których spotkałem. Nie jest ich tak dużo. Jedną z tych osób jest Amerykanin - jezuita, który jako bardzo młody ksiądz, udzielił pierwszej komunii mojemu najstarszemu synowi. Zrobił na mnie niesamowite wrażenie, kiedy podczas cichej Mszy Św. w kaplicy Radia Wolna Europa

i Radia Svoboda powiedział – A teraz odmówimy najważniejszą modlitwę jaka istnieje – Ojciec nasz. I proszę, aby każdy odmawiał ją w swoim języku. Było w tym coś wzruszającego. Ten jezuita Brian Mc Dermott, jest szefem całego zakonu jezuitów w Ameryce.

Drugą osobą jest pani psycholog od przestępców z Warszawy, specjalizująca się w badaniu i terapii przestępców. Chodziła do ich cel i ich „rozbijała”. Nagrałem z nią bardzo długi wywiad.

A trzecią osobą jest Szwajcar, który potrafi bardzo szybko swoich pacjentów powstrzymać od palenia, picia i brania narkotyków.

To są tak kontrastujące osobowości. Mam nadzieję, że projekt się uda.

Pytał się Pan tylu osób o ich stosunek do życia, życiowe wartości i przemyślenia. Jaka jest Pana hierarchia wartości?

Myszę, że najważniejsza dla mnie jest rodzina, to ona daje mi siłę do życia. Bardzo kocham swoją żonę. Za młodych lat, zanim ją poznałem, byłem trochę takim zawadiaką i wtedy nie przypuszczałem, jak ważny jest przyjaciel w życiu, jak ważna jest rodzina. Żona nie raz, w trudnych chwilach bardzo mi pomogła. Zarówno ona, jak i moi synowie są dla mnie najważniejsi.

Nie boję się starości, bo uważam, że gdy się ciągle robi to, co się lubi, to to utrzymuje człowieka w zdrowiu, w chęci do życia i w optymizmie.

Zawsze podkreślam, że bardzo ważne jest poczucie humoru. Dzięki niemu przeszedłem wiele bardzo trudnych chwil. Nie mówię o obozie koncentracyjnym, ale np. po operacji byłem w komie. A potem napisałem „Song for a Better Tomorrow”.

Każdy krok w życiu czegoś człowieka uczy. Każdy człowiek jest taką małą lekcją, jeden ciekawszą, drugi mniej ciekawą. Trzeba z otwartymi oczami iść przez życie. Życie – to jest bardzo ciekawa rzecz.

Jan Jerzy Hubert Tyszkiewicz zmarł 7 listopada 2009 roku w Oberndorfie (Austria).

Jan Tyszkiewicz, *Arystokrata bez krawata*. Gwiazdy i melodie, wyd. Nowy Świat, Warszawa 2006. Do książki dołączona jest płyta z 26-cioma piosenkami.

Fragment książki Jana Tyszkiewicza „Arystokrata bez krawata” ukaże się w poniedziałek 16 kwietnia 2018 r.

Utwór krzepnie w palcach, krzepnie w sercu...

Rozmowa z Rafałem Blechaczem, zwycięzcą Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina i laureatem nagrody Gilmore Artist.



Rafał Blechacz, fot. Marco Borggreve, Deutsche Grammophon.

Bożena U. Zaremba

Co definiuje Pana jako artystę, wygranie Konkursu Chopinowskiego, nagroda Gilmore Artist, a może jeszcze coś innego?

Rafał Blechacz

- Generalnie można powiedzieć, że artystę definiują przede wszystkim jego interpretacje, a moja przygoda z muzyką i proces budowania interpretacji zaczęły się dużo wcześniej przed Konkursem Chopinowskim. Zacząłem od muzyki Jana Sebastiana Bacha i innych kompozytorów, potem rzeczywiście przyszedł czas na muzykę Fryderyka Chopina. Oczywiście nie byłoby Konkursu Chopinowskiego, gdyby nie wcześniejsze konkursy, na początku polskie, potem międzynarodowe. Wygranie Konkursu Chopinowskiego było przełomowe, jeżeli chodzi o tworzenie kariery międzynarodowej, bo mogłem pokazywać moje interpretacje coraz szerszej publiczności, w prestiżowych salach koncertowych i na festiwalach, między innymi właśnie w Stanach Zjednoczonych. Moje interpretacje przemówiły i zostały

docenione przez nagrodę Gilmore.

Czy uważa się Pan za artystycznego spadkobiercę Krystiana Zimmermana, który był przed Panem ostatnim polskim zwycięzcą Konkursu Chopinowskiego?

- To jest dość ryzykowne stwierdzenie, dlatego, że każdy artysta ma inną osobowość, podlega innym inspiracjom i jest innym człowiekiem. Należymy na pewno do grona zwycięzców Konkursu Chopinowskiego, ale każdy z nas ma inną drogę.

Ale ma Pan z nim cały czas kontakt?

- Tak, rzeczywiście. Ten kontakt był szczególnie ważny po Konkursie Chopinowskim w 2005 roku, kiedy Krystian Zimerman przysłał mi bardzo piękny list gratulacyjny, w którym też oferował swoją pomoc. To był trudny okres dla mnie, bo wygranie konkursu stworzyło wiele nowych sytuacji, z którymi wcześniej nie miałem styczności. Doświadczenie Krystiana Zimmermana i szereg rozmów, które przeprowadziliśmy były bardzo pomocne przy pokierowaniu mojej drogi pokonkursowej w dobrym kierunku. Przykładem może być dobór odpowiedniej agencji artystycznej.

Czy po tych 13 latach, które minęły, zmieniło się Pana podejście do muzyki Chopina?

- Tak, zdecydowanie, chociaż nie są to może jakieś wielkie ani kontrowersyjne zmiany. Myślę, że jestem teraz bardziej swobodny w pokazywaniu pewnych pomysłów interpretacyjnych, czy jeżeli chodzi o dobór tempa. Przykładem może być kształtowanie tempa rubato w mazurkach. Myślę, że poza całym rozwojem artystycznym i osobowościowym wpływ miało także prezentowanie repertuaru w różnych salach koncertowych, w innej akustyce, na różnych fortepianach, przed różną publicznością, która zawsze bierze czynny udział w budowaniu interpretacji. Dany utwór jakby bardziej „wrasta” w osobowość artysty i człowiek bardziej się uosabia z pewnymi ideami danego utworu. To jest bardzo piękne, bo kiedy się na przykład odkłada dany utwór (i tutaj nie mówię tylko o muzyce Chopina) i powraca do niego po roku czy po kilku latach, to w pewnym rodzaju odkrywa się ten utwór na nowo i patrzy przez pryzmat doświadczenia koncertowego i grania utworów innych

kompozytorów.

Nagrał Pan kilka płyt z utworami Chopina, między innymi preludia, mazurki i polonezy, także koncerty. Jakie wyzwania stawia przed pianistą każda z tych form?

- Mazurki, polonezy, a także trzecie, ostatnie części koncertów to są formy inspirowane charakterystycznym rysem polskiej ludowości. Oczywiście są to stylizacje określonych tańców, niemniej jednak duch typowy dla polskich tańców ludowych jest jak najbardziej tam obecny i słyszalny. Dlatego przy interpretacji mazurków i polonezów ważne jest wejście w klimat i duch określonego tańca, w jego specyfikę. Ważny jest też właściwy dobór tempa i innych środków wykonawczych. Często obserwuje się, zwłaszcza na konkursach, że np. mazurek niektórzy traktują jak walc. To też jest taniec w metrum trójmiarowym, ale rozumienie tego metrum jest inne i trzeba mieć tego świadomość, kiedy zaczyna się pracę nad danym utworem. Natomiast co do innych form, jak nokturny, scherza czy ballady to tutaj niezwykle ważną rolę odgrywa przekaz emocji i wyobraźni. Istnieje też coś takiego, jak styl Chopinowski i jako zwycięzca Konkursu Chopinowskiego czuję się w obowiązku, żeby ten styl pielęgnować i przekazywać w sposób właściwy.

Przywiązuje Pan też dużo wagi do kolorystyki.

- Tak, szukanie ciekawych kolorów, ciekawych barw, żeby pełniej oddać charakter danego utworu, dobranie odpowiedniego dźwięku do określonej frazy - to są bardzo istotne elementy wykonawstwa muzycznego. Interpretacja staje się wtedy ciekawsza i bardziej przyciąga słuchacza. Muszę powiedzieć, że kolorystykę dźwiękową bardzo rozwinęła we mnie muzyka Claude Debussy'ego oraz innych kompozytorów okresu Impresjonizmu.

W zeszłym roku nagrał Pan dla odmiany płytę z utworami mistrza mistrzów, czyli J. S. Bacha dla Deutsche Grammophon. To Pańska pierwsza płyta z jego utworami. Czy to powrót do korzeni?

- W pewnym sensie, tak. Grałem dużo muzyki Bacha od samego początku nauki gry na fortepianie. Byłem też bardzo zainteresowany muzyką organową, uwielbiałem chodzić do kościoła, żeby jej posłuchać, nawet próbowałem też sam grać. Do dzisiaj,

kiedy mam wolny czas, lubię czasem pójść do kościoła i zagrać coś dla własnej przyjemności, zazwyczaj Bacha. Rozwinęło to moje myślenie polifoniczne, które dostrzegam w muzyce Chopina i innych kompozytorów. Tak więc cieszę się, że Deutsche Grammophon zaakceptowało moje pomysły i płyta mogła zaistnieć na rynku.

Ma Pan wyłączny kontrakt z tą wytwórnią. Może nam Pan przybliżyć tę współpracę?

- W zeszłym roku podpisałem nowy kontrakt - przedłużenie długofalowej współpracy na nowe projekty nagraniowe. Zawsze przygotowuję utwory, które mnie fascynują i które według mnie będę dobrze interpretował. Tylko wtedy ma to sens i jest wartościowe. Także biorę pod uwagę utwory, które prezentuję na koncertach, bo ja przede wszystkim myślę o koncertach, a kiedy po określonym sezonie artystycznym pojawia się myśl, żeby któryś z tych utworów zarejestrować, to informuję Deutsche Grammophon i rozmawiam z producentem. Następuje dyskusja na temat programu, czy to jest dobry moment, czy może poczekać, bo na przykład akurat inny artysta w tym czasie nagrał podobny repertuar. Jak dochodzimy do porozumienia wtedy proces jest już stosunkowo szybki. Nie ma przy tym jakiś określonych limitów czasowych.

Czy ta wolność wynika z Pana statusu jako artysty, czy jest to kwestia ogólnego kierunku działania tej wytwórni?

- Współpracując z wieloma artystami Deutsche Grammophon generalnie dąży do tego, żeby artysta czuł się dobrze z tym, co robi, a więc tak, jak obserwuję ich poczynania, to nie widzę nacisku na artystów. Czasami robią jedynie, zresztą bardzo trafne sugestie - na przykład po Konkursie Chopinowskim sugerowano, żeby wydać płytę w niezbyt długim terminie, żeby publiczność nie była zawiedziona. Deutsche Grammophon świetnie zna prawa rynku muzyki poważnej, ale stawia przede wszystkim na jakość artystyczną. Ja osobiście trafiłem na bardzo dobrych producentów, którzy są pasjonatami muzyki poważnej, a mają przy tym dużą wiedzę na temat repertuaru i nie muszę ich przekonywać do swoich pomysłów.



Rafał Blechacz, fot. Marco Borggreve, Deutsche Grammophon.



Rafał Blechacz, fot. Marco Borggreve, Deutsche Grammophon.

Płyta z utworami Bacha jest wyważona, artykulacja czysta i klarowna. Czy to według Pana klucz do interpretacji Bacha?

- W pewnym sensie, tak, a osiąga się to m.in. poprzez oszczędną pedalizację. Dość długo szukałem odpowiedniego fortepianu do tego nagrania. Nie mogłem się zdecydować i w końcu wybrałem dwa instrumenty. Niektóre utwory nagrywałem na jednym, inne na drugim, ale oba fortepiany charakteryzowały się krótkim, jasnym

dźwiękiem, troszeczkę zbliżonym do klawesynu. Na ile to było możliwe wykorzystałem też naturalne wartości nowoczesnego Steinwaya przy całkowitym oddaniu szacunku dla tego, co Bach napisał w nutach. Chciałem, żeby ten barokowy a zarazem unikalny styl Bacha został jak najwierniej oddany i zachowany.

Czyli zapis nutowy jest podstawą i punktem wyjścia. Co następuje potem?

- Przede wszystkim daję sobie dużo czasu na bycie z utworem, na „wrośnięcie” się w jego idee. Utwór wtedy krzepnie w palcach, krzepnie w sercu, fraza zaczyna być bardziej moja i ta wypowiedź artystyczna, która emanuje z określonego utworu staje się moją wypowiedzią. Dużą rolę odgrywa też intuicja artystyczna, chociaż trudno powiedzieć, dlaczego pewne pomysły interpretacyjne wydają się być dobre. To się po prostu odczuwa i wie. Oczywiście ta intuicja jest zasilana przez wiedzę teoretyczną, także na temat samego kompozytora. Punktem wyjścia jest jednak sam tekst. Istnieje także coś, co jest niezapisane, to jest ta przestrzeń między dźwiękami, gdzie ma się większą swobodę. Ale ważna jest całkowita kontrola zapisu nutowego, bo gdy tą przestrzeń potraktujemy zbyt dowolnie, może dojść do błędu interpretacyjnego, i to, co powinno pozostać nienaruszone zostaje zburzone.

Czy łatwo jest wyczuć ten moment, kiedy własna interpretacja może przyćmić założenia kompozytora?

- Myślę, że tak, że jeżeli styl danego kompozytora jest paniście bliski to artysta wyczuwa jak daleko może się posunąć. Jest jeszcze jedna ciekawa sprawa mianowicie magia chwili danego koncertu. Zdarzyło mi się, że miałem w zamysłach zaplanowaną jakąś interpretację, a wykonie podążyło w innym kierunku, albo na przykład polifoniczne potraktowanie jakiejś faktury zrodziło się dopiero na koncercie. Później zastanawiałem się co to się stało i próbowałem to odtworzyć w pamięci, żeby powtórzyć na innym koncercie. Czasami się to udawało, ale są też takie momenty, które są akceptowalne tylko w danej jedynej chwili. Każdy koncert jest właściwie inny, nie tylko dlatego, że gramy w innej sali koncertowej, na innym fortepianie, dla innej publiczności, ale jest coś takiego, co jest unikalne i charakterystyczne tylko dla danego koncertu. Nigdy więc nie wiadomo jak ostatecznie dana interpretacja będzie brzmiała i to jest chyba najpiękniejsze w tym zawodzie.

Czy wglębiecie się w muzykę Bacha wzbogaciło Pańskie interpretacje utworów Chopina?

- Tak, jak najbardziej. Myślenie fakturalne, polifoniczne było bardzo pomocne, np. przy odczytaniu Poloneza Fantazji As-dur, Op. 61, także późniejszych mazurków czy nokturnów. Takie myślenie wielogłosowością prowadzi do tego, że do każdego głosu, do każdej linii melodycznej szuka się innego koloru.

Porozmawiajmy o Pana studiach doktoranckich na wydziale filozofii Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. Czy należy się już zwracać do Pana per Dr. Blechacz?

- Nie, jeszcze nie. [*śmiech*]. Nie miałem jeszcze ostatniego egzaminu, tzn. obrony pracy doktorskiej i czekam na wyznaczenie terminu. A filozofią zainteresowałem się głębiej już w szkole średniej, a kiedy po Konkursie Chopinowskim minęło kilka lat i kiedy kalendarz koncertowy i nagraniowy był już bardziej uporządkowany, pomyślałem, że można by tą moją wiedzę filozoficzną bardziej uporządkować i usankcjonować. Ta przygoda z filozofią była świetna, to znaczy ona cały czas trwa, bo jest to bardzo rozległa dziedzina i co chwilę pojawiają się też nowe publikacje na te tematy, które mnie najbardziej interesują, tj. metafizyka, estetyka i filozofia muzyki. Moja praca doktorska traktuje o interpretacji dzieła muzycznego w kontekście nurtu fenomenologicznego. Główną pracą filozoficzną, z której czerpię jest dzieło Romana Ingardena *O tożsamości dzieła muzycznego*, ale też inne publikacje z zakresu filozofii muzyki. Pierwsza część jest teoretyczna i dotyczy logiki dzieła muzycznego. Druga podkreśla wartości w danym przedmiocie artystycznym, takie jak estetyczne, etyczne i metafizyczne, a więc tutaj odniesienia do muzyki Bacha były jak najbardziej pomocne, też do muzyki Fryderyka Chopina. Później przeżycie estetyczne, czyli koncert publiczny. Dzieło wieńczą wnioski, które wynikają z mojego obcowania z dziełem sztuki, na przykład kwestie interpretacji i jej granic.

Czy wiąże się to w jakiś konkretny sposób z Pana działalnością artystyczną, czy jest to wyłącznie zabawa intelektualna?

- Jak najbardziej jest to też zabawa intelektualna, ale oczywiście ta praca wzbogaca moje rozumienie i patrzenie na muzykę. Też na kwestię przeżycia muzycznego, czyli koncertu. Praca Ingardena była bardzo pomocna, na przykład jego spostrzeżenie, że

publiczność bierze czynny udział w budowaniu interpretacji, że istnieje coś takiego jak emocja wstępna, czyli reakcja odbiorcy na pierwsze dźwięki koncertu, co determinuje odbiór całego koncertu.

Odnoszę wrażenie, że jest Pan osobą o bardzo silnym kręgosłupie moralnym. Nie znosi Pan kłamstwa, braku osobistej kultury czy szacunku dla innych, a kiedy spotyka Pan się z arogancją czy wręcz wrogością odpowiada Pan dyplomacją i uprzejmością. Czy to Pana filozofia życiowa?

- „Filozofia życiowa” to są może duże słowa, ale kiedy człowiek ma czyste sumienie, czysty umysł i czyste serce, to przenosi się to na jego działanie jako artysty - interpretacja jest wtedy autentyczna i prawdziwa. A publiczność momentalnie wyczuwa, kiedy dochodzi do jakiegoś emocjonalnego fałszu.

Mówi się o Panu, że ceni Pan sobie prywatność, stroni od blichtru wielkiego świata. Podczas trwania Konkursu Chopinowskiego prawie całkowicie Pan odgradził się od konkursowego zgiełku. Czy to według Pana najbardziej efektywna metoda na twórczą atmosferę dla artysty?

- Ta strategia podczas konkursu nie była specjalnie zaplanowana. Czułem po prostu, co będzie w danej chwili najlepsze. Nie należę do artystów, którzy podczas trwania konkursu lubią konfrontować swoje interpretacje z innymi wykonaniami. Ja wolę skupić się na swoim programie. Rzeczywiście przyjeżdżałem do Warszawy tylko na określony etap, a potem wracałem do domu, gdzie mogłem się skupić, wyciszyć, poćwiczyć i odpocząć. Później nie było to oczywiście możliwe, bo media były zainteresowane moją osobą i trzeba było udzielać wywiadów i brać udział w konferencjach prasowych. Ale to było dla mnie całkowicie naturalne - nasz współczesny świat wymaga promocji, bo bez tego nasza sztuka nie docierałaby do ludzi, a przecież takie jest nasze zadanie, żeby dzielić się pięknem z drugim człowiekiem.

Wywiad został przeprowadzony dla Chopin Society of Atlanta

(www.chopinatlanta.org). Koncert w Atlancie odbędzie się 15 kwietnia w Atlanta Symphony Orchestra Hall. Kalendarz tournée artysty po Stanach Zjednoczony i Kanadzie na stronie wytwórni Deutsche Grammophon:

<https://www.deutschegrammophon.com/us/artist/blechacz/ontour>

Joanna Sokołowska-Gwizdka - laureatką ZŁOTEJ SOWY POLONII



„Złota Sowa Polonii” jest uhonorowaniem za dokonania twórcze, artystyczne, naukowe i społeczne dla przedstawicieli światowej Polonii, Polaków aktywnych poza Polską oraz obcokrajowców, którzy działają na rzecz polskiej kultury.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm:

Została Pani tegoroczną - 2018 roku - laureatką Złotej Sowy Polonii. Nagroda przyznawana jest od 2005 roku za dokonania twórcze poza Polską.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

- Tak, spotkał mnie wielki zaszczyt. Nagroda jest przyznawana przez Klub Inteligencji Polskiej w Austrii oraz redakcję pisma „Jupiter” za propagowanie polskiej kultury poza krajem w różnych dziedzinach. Ja ją otrzymałam w kategorii Literatura. Statuetka będzie wręczana na gali w Sali Sobieskiego Polskiej Akademii Nauk w Wiedniu 24 marca br.

Czuję się niezwykle wyróżniona i doceniona. Pracuje się przecież nie dla nagród, podejmując wyzwania i wysiłek w ogóle się o nich nie myśli. Nie mniej jednak świadomość, że nasza praca nie pozostaje bez echa, że została zauważona, sprawia wielką radość.

Jest Pani autorką książki o Helenie Modrzejewskiej. Jak się zaczęło Pani zainteresowanie, które zamieniło się w pasję tą niezwykle postacią wielkiej aktorki? Za co możemy teraz - z perspektywy lat - podziwiać Modrzejewską?

- Zainteresowanie aktorką zaczęło się, gdy pierwszy raz odwiedziłam Kalifornię, na przełomie 1997 i 1998 roku. Uświadomiłam sobie wówczas, że to tu było jej miejsce, które sobie wybrała, miejsce wymarzone, gdzie stworzyła dom - oazę, wśród słońca i palm ze świeżym, morskim oddechem znad Pacyfiku. W Kalifornii są jedne z piękniejszych zachodów słońca, a białe szczyty gór, niczym mury tonących w kwiatach i zieleni hiszpańskich misji, gubią się w chmurach. I właśnie w takiej scenerii aktorka stawiała pierwsze kroki na deskach amerykańskiego teatru, przemierzając wielokilometrowe dystanse.

Podczas tego pierwszego pobytu „w kraju Modrzejewskiej” zorientowałam się, że mimo wielu śladów w postaci m.in. nazw geograficznych, niewiele o aktorce wiadomo. Sama zresztą byłam ciekawa, kim była. Po powrocie do Polski zaczęłam

więc ją poznawać. I tak nasza „znajomość”, nawiązywana z dłuższymi, lub krótszymi przerwami, trwa do dziś.

Helena Modrzejewska stała się dla mnie kimś bliskim. Wielokrotnie czytałam jej listy, wspomnienia, książki na jej temat. W efekcie „zaprzyjaźniłam” się z nią. Znam ją zarówno jako człowieka pełnego radości, jak i wątpliwości, wielkich wzlotów i upadków, znam ją z życia codziennego, dowcipną, uśmiechniętą, pielącą ogródek, czy narzekającą na los gwiazdy, która musi smażyć kotlety i cerować skarpetki swoim panom. Widzę ją spacerującą wśród cyprysów w kalifornijskim Ardenie, pielęgnującą ukochane róże oraz na scenie, jako wielką aktorkę wzbudzającą niezapomniany dreszcz, oklaskiwaną zarówno przez tłumy w Metropolitan Opera w Nowym Jorku, jak i garstkę widzów w małych prowincjonalnych amerykańskich teatrzykach. Doceniam, że nigdy nie zapomniała o Polsce i swoją postawą kształtowała opinię publiczną. Np. podczas każdej tury artystycznej grała jedną scenę Ofelii z „Hamleta” po polsku, aby „nie zapomniano z jakiego kraju pochodzi”.

Cenię ją więc za to jaką była artystką, Polką i jakim była człowiekiem. Myślę, że uniwersalnymi cechami, za które można podziwiać aktorkę jest jej determinacja w pokonywaniu przeszkód, odwaga i niezwykła pracowitość.

Modrzejewska pochodziła z rodziny, która nie ułatwiła jej startu w życie, do wszystkiego doszła sama własną pracą i talentem. Początki jej kariery aktorskiej to podróże po drogach Galicji i występy w prowincjonalnych teatrzykach. Jednak pokonała wiele niepowodzeń i stała się gwiazdą Teatrów Rządowych w Warszawie. Będąc na szczycie sławy potrafiła podjąć nowe wyzwanie - zaczęła budować karierę za Oceanem od początku i to bez znajomości języka angielskiego. Uczyła się dzień i noc, aby móc wyjść na scenę i zagrać w języku Szekspira. Dzięki wytrwałości zdobyła ogromną popularność na amerykańskim kontynencie. Może o tym świadczyć fakt, że producenci damskich strojów, butów czy przyborów toaletowych ubiegali się o firmowanie nazwiskiem Modrzejewskiej swoich wyrobów. Artystka zaczęła dyktować modę, maniery, zachowanie, gesty. Konkurencyjne domy mody „wydzierały sobie” Modjeską. Tam gdzie występowała fetowały ją miejscowe kluby, a wieczorem na scenie pojawiały się wielkie kosze kwiatów z „gwiazdą północy” na szczycie, utkaną z białych i czerwonych róż.

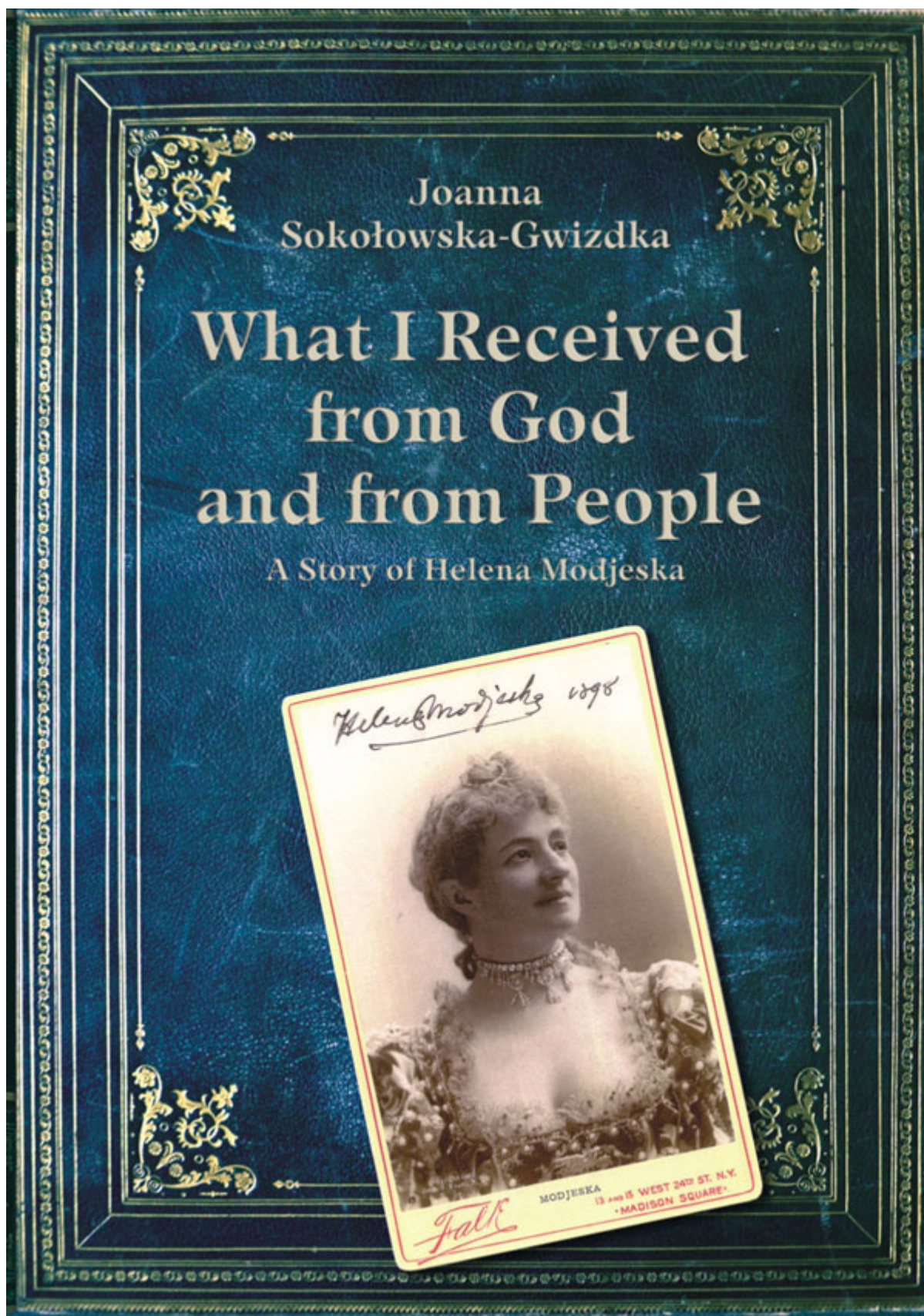
Mimo tych sukcesów Modrzejewska nie spoczęła na laurach, nie „odrywała kuponów” nawet wtedy, gdy recenzenci rozpisywali się w samych superlatywach na jej temat. Pamiętała, że „fortuna kołem się toczy”, miała w sobie wiele pokory, do końca życia pracowała nad rolami, rozwijała je, wzbogacała swoimi doświadczeniami życiowymi. Tak więc pracowitość i pokora nawet po stu latach się nie zdezaktualizowały.

Joanna
Sokołowska-Gwizdka

Co otrzymałam od Boga i ludzi

Opowieść o Helenie Modrzejewskiej





Pani książka ma tytuł: „Co otrzymałam od Boga i ludzi. Opowieść o Helenie Modrzejewskiej” (BoRey Publishing, Somerset, New Jersey 2009). Skąd ten

cytat?

- Modrzejewska dużą wagę przywiązywała do pisania wspomnień. Już w młodości prowadziła dziennik, a z biegiem lat słowo zapisane, jako ponadczasowe, miało dla niej coraz większe znaczenie. Zresztą została obdarowana również talentem literackim i bogatą wyobraźnią. Po zejściu ze sceny i opuszczeniu swojego ukochanego Ardeny, czując nieubłagany wpływ czasu podsumowywała swoje życie:

Gdy siedzę na ganku naszej willi i patrzę na purpurowe wzgórza Santa Ana, na wierzchołki Sierra Madre albo w błękitne wody zatoki, mam uczucie spokoju i zadowolenia. Miłość do moich najbliższych wypełnia mi serce po brzegi i chociaż w myślach goszczą często obrazy ze świetnej przeszłości na scenie, to jednak nie żal, nie gorycz mąci moją świadomość, ale wypełnia ją wdzięczność za wszystko, co otrzymałam od Boga i ludzi.

Tak się kończą wspomnienia Heleny Modrzejewskiej. Ja wykorzystałam ostatnie zdanie jako klucz do otwarcia przeszłości. Spróbowałam stworzyć portret artystki i człowieka, poprzez mój pryzmat widzenia tej postaci.

Książka jest dwujęzyczna, nieduża, pięknie wydana ze wstępem prof. Kazimierza Brauna. Do jakiego czytelnika książka jest skierowana?

- W moim zamyśle książka miała rozpowszechnić wiedzę na temat Heleny Modrzejewskiej w Ameryce, gdzie aktorka spędziła ponad 30 lat i uświadomić, jak wiele zrobiła dla historii kultury tego kontynentu. Przecież przed nią prawie nie znano tu Szekspira. A ona jeździła w najdalsze zakątki Ameryki, wożąc ze sobą kostiumy, dekoracje, z czasem podróżowała z własnym zespołem aktorów. Na spektakle, w dużej części szekspirowskie, przychodzono głównie dlatego, aby zobaczyć słynną „zamorską gwiazdę”, o której krążyły legendy.

Tak więc książka skierowana jest przede wszystkim do czytelników z USA i Kanady. Jest odwracana i ma dwie okładki. Na okładce po stronie polskiej znajduje się fotografia Modrzejewskiej zrobiona w Krakowie, po angielskiej zaś - w Nowym Jorku.

Mimo, że z zebranego przeze mnie materiału mogła wyjść książka bardzo obszerna i

zbliżyć się do monografii, jednak zdecydowałam, że w dobie smsów i innych krótkich i treściwych form porozumiewania się, lepiej napisać książkę zawierającą pewną ilość informacji, ale nie za długą, którą można przeczytać w podróży, lub siedząc wygodnie w fotelu przy kominku w zimowy wieczór. W obecnym wyścigu z czasem, taka podręczna książka ma większą szansę dotarcia do dużej ilości osób. Wydaje mi się, że świetnie nadaje się na prezent zarówno dla polskiego czytelnika, jak i dla tych, którzy z Polską nie mają nic wspólnego.



Joanna Sokołowska-Gwizdka podczas wieczoru nt. Heleny Modrzejewskiej w Austin, Teksas, listopad 2017 r., fot. Jacek Gwizdka.

Czy teraz, po latach jej syn, Ralph Modjeski wielki budowniczy mostów, jest równie sławny jak jego matka?

- Na pewno tak. Świadczy o tym m.in. fakt, że firma założona przez Ralpha Modjeskiego (Rudolfa Modrzejewskiego, zwanego w domu „Dolciem”), istnieje do dziś, szcycąc się ponad stuletnią historią. Główna siedziba firmy „Modjeski and Masters” mieści się w Harrisburgu w Pensylwanii. Myślę, że Rudolf Modrzejewski nie przewidywał, że tworzy firmę, która będzie działać jeszcze długo po jego śmierci (zmarł w 1940 roku w Los Angeles).

Ralph Modjeski skończył prestiżową państwową szkołę dróg i mostów w Paryżu (*Ecole Nationale des Ponts et Chauseés*), a potem terminował jako inżynier u słynnego konstruktora George’a S. Morisona, zwanego ojcem amerykańskich mostów. W 1911 roku uzyskał doktorat z inżynierii w *Illinois State University*.

Zasłynął jako pionier w budownictwie tzw. mostów wiszących. Zbudował ponad 40 mostów na największych rzekach w Północnej Ameryce, m.in. Thebes Bridge na Mississippi, Benjamin Franklin Bridge w Filadelfii, Ambassador Bridge w Detroit, Trans-Bay Bridge w San Francisco itd. Jego uczniem był Joseph B. Strauss – twórca słynnego mostu Golden Gate w San Francisco. Ile razy przejeżdżam przez któryś z wielkich amerykańskich mostów ze spektakularnym widokiem na potęgę rzeki, nie mogę się nadziwić, jak człowiek i to ponad sto lat temu, mógł wymyślić tak niesamowitą i trwałą konstrukcję.

Co dzieje się z dworkiem aktorki w Arden?

- Helena Modrzejewska nazwała Ardenem swoje kalifornijskie rancho – od Lasu Ardeńskiego ze sztuki Szekspira „Jak wam się podoba”. Miało to być miejsce wolności, artystów i sztuki, zgodnie z teatralnym pierwowzorem. Modrzejewska wraz ze swoim mężem Karolem Chłapowskim mieszkała tam głównie w okresie wakacyjnym i świątecznym w ciągu 18 lat. Wiele przyczyn złożyło się na to, że w 1906 roku Chłapowscy sprzedali Arden. Obecnie jest tu muzeum Heleny Modrzejewskiej (*Arden Modjeska Historic Home & Garden*), a zbiorami opiekuje się Fundacja Heleny Modrzejewskiej, która rekonstruuje wygląd domu, gromadzi wyposażenie i pamiątki, związane zarówno z artystką, jak i epoką. Zamówiono np. taką samą makatkę przedstawiającą Matkę Boską, jaka wisiała w sypialni Heleny, w tej samej firmie w Zakopanem, w której zamawiała Modrzejewska. Prawnuczka Modrzejewskiej, która jest rzeźbiarką i mieszka na Alasce zrekonstruowała ozdobny

stół, który stał w salonie. Tak więc dom po latach użytkowania przez innych właścicieli nabiera powoli charakteru sprzed lat.



Pani Joanno, w 2016 roku wydała Pani książkę poświęconą teatrowi emigracyjnemu w Toronto. Jest to duża praca monograficzna. Na czym polega fenomen teatru polskiego w Toronto?

- Salon Poezji, Muzyki i Teatru im. Jerzego Pilitowskiego został założony w 1991 roku przez aktorkę Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie - Marię Nowotarską. Od tej pory w Salonie było ponad 100 premier - od kameralnych spotkań literackich z towarzyszeniem instrumentu, po duże, wieloobsadowe, często fabularyzowane spektakle słowno-muzyczne. Maria Nowotarska wykorzystuje ogromny potencjał, który tkwi w utalentowanych artystach torontońskich, pracujących bardzo często w swoich zawodach na kanadyjskiej scenie, a także w uzdolnionej młodzieży, uczącej się w teatrze piękna polskiego słowa. Aktorka i reżyser jednocześnie, ma w sobie niezwykły magnetyzm, który do teatru przyciąga talenty. Aktorzy, śpiewacy, plastycy pracują z poświęceniem wiele godzin, za symboliczną gratyfikacją finansową, bo cenią radość tworzenia i bycia potrzebnym publiczności. Na szczególną uwagę

zasługują sztuki specjalnie pisane dla tego teatru przez dramaturga i reżysera z Uniwersytetu w Buffalo – prof. Kazimierza Brauna. Stanowią już w tej chwili cykl portretów słynnych Polek-emigrantek – Heleny Modrzejewskiej, Marii Skłodowskiej-Curie, Poli Negri czy Hanki Ordonówny, wzbudzających emocje i szerzących wiedzę o bohaterkach. Aktorki – Maria Nowotarska i jej córka Agata Pilitowska bardzo dużo podróżują z tymi sztukami – od najdalszych zakątków Kanady przez Stany Zjednoczone, Amerykę Południową po Europę.

Odpowiadając na Pani pytanie właśnie na tym według mnie polega fenomen tego teatru, że bez lokalu, zaplecza, sztabu ludzi zajmujących się kostiumami czy sprawami technicznymi, w emigracyjnych warunkach ze szczupłymi zasobami finansowymi, teatr powstał, jest, tyle lat działa i cały czas się rozwija.

Książka „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny” (*Novae Res, Gdynia 2016*), która oprócz odtworzenia działalności teatru z ponad 20 lat, objęła 270 godzin wywiadów z ludźmi kultury i sztuki z wielu pokoleń emigracji, wyszła na XX Międzynarodowe Targi Książki w Krakowie. Następnego dnia miała miejsce promocja w Teatrze im. Juliusza Słowackiego. Było to dla mnie wielkim przeżyciem, bo teatr ten był przecież od początku jego powstania sercem tego „co w polskiej duszy gra”, a kamień węgielny położyła pod nim sama Helena Modrzejewska. Od tej pory książka zaczęła żyć własnym życiem podczas licznych wyjazdów i wieczorów autorskich. Zostałam zaproszona między innymi przez Stowarzyszenie Pisarzy Polskich w Krakowie, Polskie Towarzystwo Ziemiańskie w Warszawie czy też Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie w Londynie. Po powrocie do USA byłam w Instytucie Piłsudskiego w Nowym Jorku, a w Teksasie miałam już wieczory w Houston i w Austin, gdzie mieszkam. Cieszy mnie, że moja opowieść o polskim teatrze w Toronto prowokuje do dyskusji na temat polskiej kultury poza krajem, jej roli w wychowaniu młodego pokolenia wyrastającego poza polskojęzycznym środowiskiem kulturowym i jej przyszłości.

Przed wyjazdem do Kanady pracowała Pani na Uniwersytecie Łódzkim w Katedrze Literatury Staropolskiej oraz współpracowała Pani z polskimi mediami, prasą i telewizją. Po wyjeździe podtrzymywała Pani kontakty pisząc w Polsce do pism: „Tygiel kultury”, „Jazz forum”, „Ruch Muzyczny”. Poza Polską do pism – „Nowy Dziennik” (Nowy Jork), „Gazeta” (Toronto),

„Pamiętnik literacki” (Londyn). Jakie tematy Panią szczególnie interesują?

- Zawsze mnie interesują tematy związane z polską kulturą i historią. W pierwszej połowie lat 90. byłam przedstawicielem Festiwalu Chopinowskiego w Nohant we Francji. Zebrałam dużo materiału o Chopinie i George Sand, a potem ta romantyczna para stała się bohaterem wielu moich artykułów.

Cenię twórczość Marii Kuncewiczowej. Jeszcze jako studentka byłam przez nią przyjęta w jej domu w Kazimierzu nad Wisłą, krótko przed jej śmiercią. Oprowadziła mnie po swojej pięknej drewnianej willi ze skrzypiącymi podłogami, opowiadając niezwykle historie bliskich jej ludzi i różnych przedmiotów z nimi związanych. Mówiła o planach dotyczących domu i o tym, że regularnie pisze listy do swojego zmarłego męża Jerzego. Potem kontaktował się ze mną jej syn Witold Kuncewicz, dziękując za mój tekst-wspomnienie. „Zaczarowany Dom pod Wiewiórką” pojawia się od czasu do czasu na nowo, przypominając wielką pisarkę.

Materiał historyczny - zagłada pacjentów największego przedwojennego szpitala psychiatrycznego w Kocborowie (obecnie Starogard Gdański) w październiku 1939 roku oraz postawa lekarzy wobec terroru wojny - to kolejny obszar moich zainteresowań. Zamordowanym wówczas przez Niemców ordynatorem i zastępcą dyrektora w tym szpitalu, był brat mojej babci Józef Kopicz. Między innymi dlatego temat ten jest dla mnie bardzo ważny. Mój artykuł „Oddział podróży do nieba” przywoływany jest w różnych kontekstach, m.in. podczas konferencji psychiatrycznych.

Interesuje mnie też historia obyczajów staropolskich. Myślę, że zainspirował mnie wielki polski historyk, specjalizujący się w czasach Jagiellonów, autor słynnej książki „Barbara Radziwiłłówna”, prof. Zbigniew Kuchowicz, z którym miałam na studiach wykłady właśnie z historii obyczaju.

Zbieram też pamiątki po Janie Ignacym Paderewskim, mam nadzieję, że je wykorzystam przy kolejnej dwujęzycznej książce.

Bardzo lubię formę wywiadu. Każdy z moich rozmówców coś ciekawego wnosi do mojego życia, coś mi zostawia, myśl, przesłanie, sposób na życie, wizję świata. Rozmowy z twórcami polskiej kultury bądź z osobami, które odkrywały inne kultury

czy nieznane mi obszary wiedzy, traktuję jako bardzo cenne dary.



Joanna Sokołowska-Gwizdka po spotkaniu autorskich w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Łodzi, kwiecień 2017 r., fot. Andrzej Sokołowski.

W latach 2001-2005 mieszkała Pani wraz z mężem Jackiem w Toronto, największym skupisku Polonii Kanadyjskiej, znanym z wielu organizacji, fundacji, stowarzyszeń, prasy, wydawnictw. Po ukończeniu doktoratu przez Pani męża na Uniwersytecie w Toronto, przenieśli się Państwo do New Brunswick w stanie New Jersey, gdzie Dr Jacek Gwizdka pracował na Uniwersytecie Rutgers. Od 2013 roku mieszkają Państwo w Austin w Teksasie, gdzie Pani mąż został profesorem na *University of Texas at Austin*.

W Toronto prowadziła Pani - i kontynuowała po przeniesieniu się do Stanów Zjednoczonych - miesięczny dodatek literacki do „Gazety”. Dodatek nosił tytuł „List oceaniczny”. Czym wyróżniał się „List oceaniczny”?

- „List oceaniczny” redagowałam od stycznia 2003 do czerwca 2008 roku. W czasie mojej redakcji charakter pisma się zmieniał. Na początku planowałam, że będzie to forum do dyskusji na tematy literackie, filozoficzne i historyczne, że będę zapraszać do współpracy wybitnych pisarzy, eseistów, felietonistów i artystów polskiego pochodzenia z całego świata. Z czasem doszłam do wniosku, że to za szeroki obszar, ograniczyłam go więc do Kanady i Stanów Zjednoczonych. Robiłam oczywiście wyjątki dla ciekawych tekstów literackich czy historycznych, które prowokowały do przemyśleń. W prawie każdym numerze umieszczałam wywiad - portret, przedstawiający dokonania wybitnego artysty, pisarza czy naukowca głównie z Kanady. Zebrał się już materiał na książkę portretującą trzy pokolenia Polaków w kraju klonowego liścia.

W 2016 roku założyła Pani literacki magazyn internetowy poświęcony polskiej kulturze poza krajem - „Culture Avenue”, który stał się żywą kroniką dawnych i obecnych działań polskich twórców mieszkających poza krajem. W 2018 roku otrzymała Pani nagrodę im. Macieja Płażyńskiego dla dziennikarzy i mediów służących Polonii przyznaną przez Press Club Polska w kategorii medium polonijne za redakcję pisma i promowanie polskich twórców rozsianych po świecie, często nieznanych w Polsce.

- Tak, magazyn literacki „Culture Avenue” jest niejako kontynuacją „Listu oceanicznego”. Został on zarejestrowany przez Bibliotekę Narodową w dziale wydawnictw ciągłych i otrzymał numer ISSN. Swoją rubrykę ma tu profesor Florian Śmieja z Kanady, nestor poetów emigracyjnych, współzałożyciel słynnej powojennej grupy poetyckiej „Kontynenty”, który w 2015 roku otrzymał doktorat honoris causa Uniwersytetu we Wrocławiu oraz Krzyż Komandorski Orderu Izabeli Katolickiej, przyznany przez króla Hiszpanii Filipa VI za propagowanie języka i literatury hiszpańskiej na świecie. Profesor Florian Śmieja nie tylko publikuje swoje teksty na łamach „Culture Avenue”, ale też bardzo mi pomaga poprzez swoje doświadczenie, wiedzę, życzliwość i kontakty.

W „Culture Avenue” staram się pokazywać ciekawych twórców polskiego pochodzenia, którzy tworzą poza Ojczyzną w różnych dziedzinach. I to zarówno tych bardzo znanych, nagradzanych, jak i mniej znanych, ale robiących interesujące rzeczy. W środy przedstawiane są wirtualne wystawy artystów plastyków, w piątki

ukazują się wywiady. Dla „Culture Avenue” piszą autorzy z Kanady i z USA oraz z Litwy, Norwegii, Polski i innych krajów Europy, a także z Australii i Republiki Południowej Afryki. Niedawno otrzymałam niebywały prezent - prawie 1000 stron opisu niezwykłego życia, zmarłego w 2017 r. kanadyjskiego reżysera, Tadeusza Jaworskiego. Jego filmowa wędrówka przez życie ukazuje się w każdy pierwszy poniedziałek miesiąca.

Dla mnie redagowanie „Culture Avenue” jest swego rodzaju misją, aby polska kultura powstająca spontanicznie, z potrzeby, poza zinstytucjonalizowanym obszarem kraju została utrwalona, żeby pozostał ślad po niezwykłych ludziach z różnych emigracyjnych pokoleń, którzy o tę kulturę walczyli i walczą.

Federacja: Kongres Polonii w Austrii,
Klub Inteligencji Polskiej oraz Redakcja pisma JUPITER

zapraszają na Koncert-Gałę



ZŁOTE SOWY POLONII GOLDENE EULEN

24 marca 2018, godz. 17.00

Sala im. Jana III Sobieskiego, Wiedeńska Stacja PAN
1030 Wien, Boerhaavegasse 25

Prowadzą: Jadwiga Hafner i Armin Innerhofer
W części artystycznej gościnnie wystąpią:
Halina Graser i Agnieszka Malek z zespołem

WIEN KULTUR

DISCOPI
ANGORA

WJŻP
Ludzie...Kultura

SRKP



SENAT RP



Polonia - Europa - Polska w Austrii
Ambasciata - Polnische Botschaft in Wien



Klub
Inteligencji
Polskiej
w Austrii



WIP
Wiedeńska
Inteligencyjna
Polska

JUPITER

Wstęp, ze względu na ograniczoną ilość miejsc,
tylko po uprzedniej rezerwacji:

Tel.: 01/ 71 86 886

e-mail: kpi@chello.at